Wojna rosyjsko-ukraińska

Zbiór tekstów z prasy i Internetu

Leszek Moczulski

SPIS TREŚCI

Gospodarzem sytuacji na Ukrainie jest naród.....3

Na naszych oczach kształtuje się świadomość wspólnoty losu wszystkich Ukraińców.....12

Czy może dojść do „nowego Monachium”.....24

Rosyjska wydmuszka.....31

Marzenia w Rosji nazywają się geopolityką.....37

Putin nie jest demiurgiem.....51

Gospodarzem sytuacji na Ukrainie jest naród[1]

Pojawiające się w Polsce komentarze dowodzą, że na ogół ich autorzy nie rozumieją w pełni sytuacji ukraińskiej i ślizgają się po powierzchni zjawisk. Początkowe całkowite niedostrzeganie społeczeństwa ukraińskiego jaku kluczowego aktora wydarzeń świadczy, jak słabe było rozpoznanie rzeczywistej sytuacji na Ukrainie.

Rosja nie może niczego Ukrainie narzucić

Zacznijmy od kwestii doraźnych, którym poświęca się najwięcej uwagi. Mówi się, że Rosja może wszystko Ukrainie narzucić. W Polsce od lat tworzy się psychozę rzekomej potęgi i wszechmocy Rosji (nie tylko przez PiS, chociaż propaganda tej partii jest najsilniejsza). Tymczasem w porównaniu do Związku Sowieckiego, nawet nie tego z wcześniejszych okresów, ale z 1989 roku, dzisiejsza Rosja jest tylko cieniem dawnej potęgi. Nawet pod mniej się dzisiaj liczącym względem militarnym. Jak na światową potęgę, ma przestarzałą armię, która bardzo drogo kosztuje. Jej głównym walorem są głowice atomowe i pociski balistyczne sprzed ćwierćwiecza, których dzisiaj nie ma przeciwko komu użyć. Te pociski lecą na odległość 6-8 tys. kilometrów, ale we współczesnym świecie brak przeciwnika, któremu Rosja mogłaby taką bronią zagrozić. Zimna wojna i epoka wzajemnego szantażu atomowego supermocarstw skończyła się dawno, wartość polityczna i militarna tzw. strategicznych środków masowego zniszczenia uległa ogromnej redukcji. Co do wojsk operacyjnych, krytyczna dyskusja rosyjska po wojnie gruzińskiej najlepiej ukazuje ich słabości.

Rosja cały czas leci w dół. Z roku na rok jest mniej o milion Rosjan. Zaludnienie Rosji spada co roku o 750 tys., a różnica wynika z wysokiego przyrostu naturalnego mieszkańców kultury islamskiej. Średni wiek mężczyzn Rosjan spadł do 57 lat.

[1] Rozmowa z 5 grudnia 2013 r. Źródło: http://polonus.forumoteka.pl/temat,2264,moczulski-gospodarzem-sytuacji-na-ukrainie-jest-narod.html

Rosyjski szantaż gazowy jest bronią obosieczną. Rosja może zakręcić kurek z gazem dla Ukrainy, tylko że w tej chwili magazyny z gazem na Ukrainie są pełne. Ukraina w tym roku nie potrzebuje już rosyjskiego gazu. Zakręcając kurek, Putin jedynie wstrzyma dopływ pieniędzy za paliwo. Szantaż gazowy może być skuteczny tylko wobec tych państw, które nie mają zapasów ani alternatywnych źródeł dostaw. Ale nawet takim krajom można zakręcić kurek tylko na krótko, bo zakręcenie kurka oznacza dla odbiorców tylko kłopoty z szukaniem innego dostawcy, a dla Rosji zamknięcie sobie drogi do pieniędzy. Dla gazu sprzedawanego na zachód nie ma alternatywnego kupca.

Oczywiście, Rosjanie mają jeszcze inne możliwości gospodarczego nacisku na Ukrainę. Ale za każdym razem uderzają w ten sposób również we własna gospodarkę, gdyż handel jest dwustronny. Obie strony dlatego handlują, bo tego potrzebują. To nie jest tak, że Rosja może podejmować działania gospodarcze, które innym zaszkodzą, a jej nie. Jej też zaszkodzą, a gospodarka rosyjska jest obecnie w raczej złym stanie.

W tej chwili największym rosyjskim niepowodzeniem politycznym jest postępujące porozumienie amerykańsko-irańskie. Otwiera ono drogę do wznowienia szerszego eksportu irańskiej nafty i gazu – co już teraz doprowadziło do spadku cen. Może ważniejsze są straty polityczne. Rosja była Stanom Zjednoczonym potrzebna, gdy USA pozostawały w konflikcie z Iranem i prowadziły wojnę w Afganistanie. Teraz to się kończy, polityczna potrzeba zanika.

Putin jest w stanie coraz ostrzej grozić, ale nie jest w stanie wiele zrobić. Taka polityka skutkuje jedynie wobec tych, którzy się go boją. Zresztą niektórzy politycy w Polsce posługują się straszakiem Rosji instrumentalnie, tylko po to, aby pozyskać wyborców, zwłaszcza takich, którzy nie wiedzą, czemu jest im źle. Są także tacy w Polsce, którzy naprawdę boją się Rosji, bo nigdy się jej bać nie przestali. Gdyby to oni decydowali, nadal bylibyśmy rosyjska półkolonią.

Wpływ Putina na decyzję Janukowycza był na pewno niemały. Co sowiecki przywódca przez to osiągnął? Zapewnił sobie, że teraz Ukraina

na pewno nie przystąpi do montowanej przez niego Unii Eurazjatyckiej, a także stracił wiele na wiarygodności u polityków zachodnich.

Perspektywa Unii Europejskiej

Ważnym aktorem obecnego kryzysu politycznego jest Unia Europejska. Powody zaangażowania UE wynikają z perspektywy długofalowej. Aby mogła konkurować w zglobalizowanym świecie z azjatyckimi potęgami demograficznymi, musi zbliżać się do nich potencjałem geopolitycznym, m. in. dysponować dostatecznie wielkim rynkiem wewnętrznym. Stąd konieczność zjednoczenia całej Europy. Te pół miliarda ludzi, którzy mieszkają obecnie na terytorium Unii Europejskiej, za 20 lat może okazać się wielkością zbyt małą. Dlatego Unia musi się rozszerzać, także poza geograficzne granice Europy. Chodzi zarówno o alternatywne kierunki, jak też kolejność w czasie. Niektórzy politycy Unii patrzą na południowy wschód, tj. na Turcję i na Gruzję, inni patrzą na południowy zachód, czyli na basen Morza Śródziemnego, północno-zachodnią Afrykę, Amerykę Łacińską. My i liczne inne kraje członkowskie patrzymy na wschód.

Po dłuższych dyskusjach ta ostatnia opcja wysunęła się na czoło. Unia Europejska nie szuka tutaj jakiś doraźnych korzyści, pragnie przyciągnąć Ukrainę do Europy bardziej politycznie, niż gospodarczo, ale także ułatwić jej transformację ekonomiczną. Wynika to z potrzeb perspektywicznych. Ukraina jest dużym krajem, ma rozwiniętą i liczącą się w świecie gospodarkę. Obecnie została pogrążona w kryzysie, stowarzyszenie z UE i związana z tym pomoc pozwolą oderwać się od dna. Wpłyną również na rozwój i umocnienie demokracji, zdławienie korupcji itd. Wszystko to umożliwi dokonanie właściwej integracji. Trzeba pamiętać, że w przypadku wielkich krajów jest to znacznie trudniejsze i bardziej kosztowne, niż małych. Przecież wdrażanie integracji oznacza, że Europa – przynajmniej przez pierwsze dziesięciolecia – będzie dawać, nie brać.

Nawet w przypadku mniejszych krajów integracja jest trudna. Znane są kłopoty z Bułgarią, ale w porównaniu z Ukrainą to niewielki kraj. Wejście

tak dużego kraju do Unii wymaga przygotowania obu stron. Obecnie bez kłopotów podpisano układ z niewielka Mołdawią. Większe kłopoty mogą być z przygotowaniem Gruzji. Ale i z nią podpisano układ stowarzyszeniowy. Ukraina to kraj rozleglejszy od Francji i z czterdziestoma paroma milionami mieszkańców byłby na czwartym miejscu w Unii. Przyjęcie takiego kraju do Unii jest bardzo dużym niebezpieczeństwem gospodarczym. Integracja wymagać będzie wielu lat przygotowań. Osobiście uważam, że szybciej niż Ukraina wejdzie do UE Białoruś – mimo że obecnie wydaje się to nierealne.

Fiasko wileńskie z zadowoleniem przyjęły niektóre kraje UE. Odłożenie stowarzyszenia Ukrainy zwalnia niemało środków. Spora grupa krajów członkowskich ze strefy śródziemnomorskiej woli, aby zaangażować je w Afryce. Są tam bogate źródła paliw energetycznych, potrzebnych Europie zachodniej, a wzajemne stosunki gospodarcze rozwijają się od bardzo dawna. Poza wszystkim innym, kraje arabskie, albo szerzej – islamskie, stanowić mogą w XXI wieku największe zagrożenie dla Europy. Związanie Algierii czy Maroka z Unią być może rozładowałoby narastające napięcie między Europą a islamem. Takie względy powodowały, że niektóre kraje południowo-zachodnie bardziej domagały się wypuszczenia Tymoszenko, licząc że w ten sposób nie dopuszczą do porozumienia Unii z Ukrainą. Za wschodnim kierunkiem integracji opowiadały się kraje północne i wschodnie – i to politycy z tych państw przekonały Niemców, co dało nam jakąś przewagę. Ale taki wybór nie był i nie jest oczywisty dla wszystkich krajów członkowskich UE.

Perspektywa Polski

Dla nas to co się dzieje na Ukrainie ma kluczowe znaczenie. W interesie Polski jest, aby Ukraina była w Unii Europejskiej. Nie tyle z racji przeszłości – choć Europa wraca do ukształtowanych przez stulecia układów, co z racji przyszłości.

Unia Europejska musi się poszerzać, a poszerzając się, musi stworzyć szczebel pośredni. Jak w Unii będzie 38 czy 40 państw, trudno będzie Unią zarządzać. To będzie ten sam kłopot, który miała I Rzeczpospolita,

która była federacją siedemdziesięciu kilku ziem i województw. Na ich terenie rządziły sejmiki, które delegowały po dwóch posłów na Sejm. Sejm był władzą ponad królem i pilnował, aby władza wykonawcza była słaba. Skończyło to się upadkiem państwa, które nie potrafiło poradzić sobie z zagrożeniami zewnętrznymi. Podobnie jest z UE. Stąd ujawniająca się już konieczność tworzenie bloków regionalnych. Łączyć one będą suwerenne państwa o zbliżonych interesach. Ten proces zresztą już trwa. Jeden taki blok juz powstał, obejmuje region nordycki (Szwecja, Dania, Norwegia, Finlandia). Obejmuje jedno państwo spoza Unii, ale to im wcale nie przeszkadza. Rozpoczęło się już formowania bloku zachodnio-śródziemnomorskiego. Prędzej czy później taką potrzebę zrozumieją społeczeństw naszego regiony Międzymorza. Obecnie największą przeszkodą są stosunki polsko-litewskie, ale to zjawisko czasowe. Ważnym członkiem takiej organizacji regionalnej powinna być Ukraina. I to wcześniej, nim uzyska pełne członkostwo w UE, gdyż taka integracja regionalna przyśpieszy znacznie europejską.

Współcześni polscy politycy wyrastają z Okrągłego Stołu i dlatego są przekonani, że zmian na Ukrainie można dokonać tak, jak w Polsce po 1989 roku, czyli stopniowo. I sugerują Ukraińcom: „Podzielcie to na etapy! Nie stawiajcie sprawy na ostrzu noża!”. Nie mam nic przeciwko taktyce dwu, trzy etapowej, ale powinna być realizowana ze świadomością ostatecznego celu. Konieczne jest pełne zrozumienie, że pierwszego etapu nie można traktować, jakby był ostatnim.

Perspektywa Janukowycza

Dla Janukowycza naciski Rosji były tylko wygodnym pretekstem do niepodpisania układu w Wilnie. Moim zdaniem prowadził on rozmowy zarówno z UE, jak z Rosją nieszczerze. Z jednej strony była to forma nacisku na Rosję. Dla Janukowycza głównym problemem są wybory prezydenckie na Ukrainie za dwa lata. Do niedawna miał prawo obawiać się, że jak wypuści Tymoszenkę, to ona wygra wybory prezydenckie – i zamknie Janukowycza, ponieważ ustawa, która posłużyła do jej uwięzienia daje wystarczająco dużo pretekstów, żeby zamknąć każdego polityka. Co więcej, pozwala to utrzymać stan swoistej pół-dyktatury i

swobody działań oligarchów. Z kolei związki z UE oznaczają ochronę przed uzależnieniem się od Moskwy i utrzymanie partnerskich stosunków z Rosją; Janukowycz chce zachować samodzielność, a nie być moskiewskim gubernatorem

Stowarzyszenie z Unią otwiera Ukrainie bardzo dobre perspektywy na przyszłość, ale nie daje wielkich doraźnych korzyści. Na duże pieniądze z Unii Ukraina musi poczekać, aż będzie krajem członkowskim a to nastąpi dopiero za lata. Rosja daje Ukrainie znacznie mniej, bez porównania mniej, jej oferta oznacza dla Ukrainy regres, ale Rosja daje natychmiast. A Janukowyczowi potrzebne są pieniądze na najbliższe dwa lata, aby nastąpiła jakaś poprawa na Ukrainie i aby miał szansę na wygranie wyborów.

Ten zawiły poker nie powiódł się jednak. Gracz przedobrzył, a nie miał asa w rękawie. Janukowycz sam spowodował, że stracił wszystkie szanse wyborcze.

Gospodarzem sytuacji na Ukrainie jest naród

Czynnikiem decydującym na Ukrainie są Ukraińcy. Podobnie jak w 1989 roku okazało się, że o Polsce rozstrzygają Polacy. Tego faktu nie dostrzegli wówczas przywódcy PZPR, a obecnie klucz do rozumienia spraw Ukrainy pozostał poza wyobraźnią licznych analityków i komentatorów, w tym również – niestety – polskich. Bezpośrednio po decyzji Janukowycza o wstrzymaniu procedury traktatowej, któryś z wybitniejszych mentorów orzekł, że na taką zmianę Ukraina poczeka 300 lat. Okazało się, że na jej początek trzeba było czekać mniej, niż 30 godzin. Ciągle nie chce się dostrzegać, że w ciągu minionych dwu-trzech dekad doszło do ogromnego skoku rozwojowego narodu ukraińskiego. I to rozumianego już nie jako populacja wyodrębniana przez cechy etniczne, tylko narodu pełnowymiarowego – połączonego poczuciem wspólnego losu. Jeśli nie dostrzeżemy gigantycznych skutków, jakie dało 22 lat istnienia niepodległej Ukrainy – nie zrozumiemy niczego. To prawda, że Ukraina nie radzi sobie sama z sobą, że brakuje jej polityków, zdolnych zmierzyć się z gigantycznymi wyzwaniami, że kiepsko

gospodaruje, tonie w korupcji, z trudem uczy się demokracji. Po 200 latach niewoli, masowych zbrodni, ludobójczego głodu, masowych wywózek? U nas jest lepiej, to prawda – ale czy różnice są naprawdę tak wielkie?

Niezależnie od tego wszystkiego, od kulawej gospodarki, przekupności władzy, podziałów i jaskrawych nieraz różnic, Ukraińcy nauczyli się już być niepodległym narodem. To nie jest taki skok, jaki nastąpił w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym, ale wystarczająco wielki, aby masowo bronić uzyskanej nareszcie wolności. A jeśli są fazę za nami, to nie z ich przecież winy.

Jak przed wiekami, Ukraina znów znalazła się między Wschodem i Zachodem. Łatwiej teraz widzi, co jest tu i tam. Widzą Europę, widzą Polskę. Masowe wyjazdy Ukraińców na zachód, chociażby do Polski, podpowiadają Ukraińcom, co mają robić. W Polsce też jest korupcja, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Widzą, jak Polska się rozwija, jakie potężne inwestycje komunikacyjne, miejskie, mieszkaniowe są dokonywane. Widzą, co osiągnęli Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy. I porównują to z widocznym gołym okiem zastojem w Rosji. Jeżeli w Rosji jest jakiś rozwój, to w Moskwie czy Petersburgu. Ale Ukraińcy widzą przede wszystkim, co jest w Rostowie, Woroneżu, Saratowie, Wołgogradzie, Krasnodarze – zastój, bieda. Różnica jest uderzająca. Łatwo wyciągnąć wnioski. Jeśli się tylko chce, aby było lepiej. A granica tych, co chcą przesuwa się ustawicznie na wschód. Właśnie mija Charków.

Mu mamy wspaniałe doświadczenie „Solidarności" – lecz i stanu wojennego. Ukraińcy mają wspaniałe doświadczenie Pomarańczowej Rewolucji – rozpylonej, marnowanej także przez jej przywódców. Poznali jednak smak zwycięstwa. To daje nową siłę. Może tym razem jeszcze się powiedzie, może na końcowy sukces trzeba będzie poczekać, ale weszli już na właściwą ścieżkę.

Ostatnie wydarzenia na Ukrainie wykreowały tam także nowego przywódcę. To Witalij Kliczko. Nagle pojawił się twardy facet, który się

nie boi (a ma prawo się nie bać, bo w razie czego wyjedzie zagranicę i powie, że miał fajną przygodę). Może brakuje mu horyzontów, doświadczenia politycznego, umiejętności kierowniczych – ale ma to, czego brakuje większości polityków europejskich, ukraińskich czy też polskich – wolę, determinację, stanowczość.

Janukowycz już przegrał tę grę. Może szukać nowych rozwiązań, aby ratować twarz, albo zachować prestiż. Może przestać grać, pójść za interesem Ukrainy. Zobaczymy, czy rzeczywiście ma aż dwa lata czasu. I jaki to będzie czas. Putin także przegrał – i to już dawno. Gonić za zwidą przeszłości, wierzyć w istnienie utraconego imperium zawsze prowadzi do klęski!

My chyba najlepiej powinniśmy rozumieć, że o przyszłości Ukrainy zadecyduje sam naród ukraiński i jego nowy przywódca! Gdyby w Polsce w latach 80. nie doszło do masowych działań społecznych, komuna by rządziłaby do dziś. A teraz w jedną niedzielę milion ludzi zbiera się wokół Majdanu. Trudno tego nie dostrzec.

Dalszy rozwój wypadków

Co może się teraz zdarzyć na Ukrainie? To nie jest taka sytuacja jak w 1981 roku – potężny Związek Sowiecki i słaba Polska. Wtedy trzeba było aż 10 lat, żeby – po wprowadzeniu stanu wojennego – przewrócić komunę. Jeżeli teraz spróbują na Ukrainie siłą opanować tę sytuację, to na krótko. I skończy to się znacznie gorzej dla tych, którzy to spróbują zrobić.

Nikt nie chce rozlewu krwi na Ukrainie. Ale być może nie uda się temu zapobiec, bo aktorzy bywają kiepscy. Nam się nie powiódł rok 1981 przede wszystkim dlatego, że kierownictwo „Solidarności" nie dorosło do sytuacji, która powstała. Nie wiedziało, co robić i pocieszało się sloganami. Nie chciano ani obalać PRL-u, ani zawierać kompromisowego porozumienia, które pozwoliłoby dużo ocalić. Na Ukrainie może być podobnie. Ale to nie odwróci procesu historycznego, który tam się toczy.

Powinno nam zależeć na tym, aby Ukraińcy wygrali jak najniższym kosztem, a ich zwycięstwo spajało kraje Międzymorza. I dlatego nasze zaangażowanie na Ukrainie trzeba ocenić wysoko. Na Majdan nie mogą obecnie pojechać przedstawiciele polskich władz, to delikatna sprawa. Muszą czekać na zaproszenie obu stron. Co innego politycy niepełniący funkcji państwowych. Wszyscy jednak powinni pamiętać, że to nie jest gra w karty, w pokera, między paroma politykami z groźnym wilkiem Putinem. Tutaj działają wielkie procesy społeczne, procesy geopolityczne. Politycy panują nad takimi procesami tylko tak długo, jak długo działają z nimi w zgodzie. A w tym konkretnym wypadku ten proces polega na tym, że to Ukraina sam się dźwiga. Może dozna jeszcze jednej czy dwóch porażek, ale po każdej takiej porażce będzie silniejsza i odważniejsza. Nie są to klęski, które ją złamią, ale porażki, które pobudzają chęć zwycięstwa. I w końcu to Ukraińcy zwyciężą!

- Rozmawiał i spisał: Mirosław Lewandowski

Na naszych oczach kształtuje się świadomość wspólnoty losu wszystkich Ukraińców[2]

Potwierdziło się to, o czym rozmawialiśmy na początku grudnia ub. roku[3], że zbiorowe działania ludzi rozstrzygną o przyszłości Ukrainy. Wyrazistym dowodem może być fakt, że porozumienie z 21 lutego 2014 roku podpisane przez trzech ministrów Unii i przez Janukowycza obowiązywało najwyżej kilkanaście godzin [chodzi o porozumienie z wynegocjowane w Kijowie przez ministrów spraw zagranicznych Trójkąta Weimarskiego: Radosława Sikorskiego, Franka-Waltera Steinmeiera i Laurenta Fabiusa – ML]. Formalnie można powiedzieć, że zerwał je Janukowycz, bo nie wykonując go uciekł – ale przecież nie dlatego uciekł, żeby go nie zrealizować, lecz ze strachu, że go ludzie złapią i postawią przed sądem. Porozumienie zostało w rzeczywistości obalone przez samych ludzi, przez Majdan. Zadecydowali Ukraińcy, a nie politycy.

Majdan zapewne nie reprezentował absolutnie całej Ukrainy. Był jednak niewątpliwie przedstawicielstwem większości obywateli, nie tylko tych żyjących w zachodniej i centralnej części kraju, ale również niemałej części rosyjskojęzycznych mieszkańców trzech wschodnich obwodów (obłasti).Teraz te proporcje uległy zasadniczej zmianie wraz z rosyjską agresją. Polityczne podziały gwałtownie zredukowano, gdy zagrożony został wspólny interes narodowy.

Ukraina jest jednym z nielicznych krajów europejskich, w której nadal bardzo żywe są historyczne podziały terytorialne. Dają one o sobie mocniej znać, niż nawet niemieckie czy włoskie. Różne doświadczenia historyczne inaczej odcisnęły się na ludziach, zamieszkałych w poszczególnych częściach tego rozległego kraju. Najważniejszym skutkiem stało się zróżnicowanie tempa pełnego uzyskiwania świadomości narodowej.

---

[2] Rozmowa z 2 marca 2014 r. Źródło: http://geopolityka.net/na-naszych-oczach-ksztaltuje-sie-swiadomosc-wspolnoty-losu-wszystkich-ukraincow/

[3] Patrz: pierwsza rozmowa w tym zbiorze.

Naród to przede wszystkim wspólnota losu. W ciągu ostatniego półtora stulecia rozumienie tej podstawowej zasady, działającej nieprzerwanie przez całą historię, zostało przysłonięte przez czasowy awans kryteriów etnicznych, najbardziej widocznych dla szerokich kręgów ówczesnych społeczeństw. Chodzi przede wszystkim o język, w mniejszym stopniu o religię. Okresowo powoływano się również na przynależność do innej grupy społecznej, ale to już szczęśliwie zanikło. Wszystkie narody europejskie, ukształtowane bezpośrednio po wędrówkach ludów V-VII stulecia, wyrosły z mniejszych czy większych mieszanek etnicznych. W przypadku Ukrainy zjawisko to występuje wyjątkowo silnie, a główne przyczyny są oczywiste. Przez stepy czarnomorskie prawie nieprzerwanie przysuwały się ludy wędrujące ze wschód na zachód, a każdy zostawiał tu trochę własnych genów. Niektóre migracje miały charakter otwarcie agresywny: atakowały rodzimą ludność, mieszkającą już poza granicą stepów.

Przez całą swoją historię Ukraina była rzeczywistym przedmurzem Europy, brała na siebie wszystkie ciosy, wychodzące ze wschodu. Osłabiana najazdami Pieczyngów i Połowców, Ruś Kijowska została zdruzgotana i wyludniona przez Mongołów w XIII-XIV w., co od końca XV do drugiej połowy XVII stulecia kontynuowali Tatarzy. Wyludniane ziemie były na nowo zasiedlane przez przybyszów z zewnątrz, do czego doszła masowa kolonizacja ziem stepowych w XIX i jeszcze w XX wieku. Wraz z utratą odrębnej państwowości w XVIII w. doprowadziło to do sytuacji, że poczucie odrębnej wspólnoty losu zaczęło zanikać – naród ukraiński prawie przestał istnieć. Obroniła go garstka intelektualistów oraz wschodnio-galicyjski przyczółek odrodzenia narodowego.

Odmienne losy poszczególnych prowincji inaczej kształtowały ich mieszkańców. Główny podział wyodrębnia ziemie, ongiś stanowiące południową część Rusi Kijowskiej, czyli historyczną Ukrainę. Rozerwane pomiędzy Królestwo Polski oraz Wielkie Księstwo Litewskie, połączone zostały w następstwie Unii Lubelskiej, tworzącej Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Wschodnie i południowe obszary współczesnej Ukrainy były wówczas bezludnymi stepami, na których koczowali Tatarzy – i realnie

nie stanowiły części terytorium jakiekolwiek państwa: ani Turcji, ani carstwa moskiewskiego, ani nikogo innego. Obszary położone na wschód od historycznej Ukrainy zostały zasiedlone z Ukrainy naddnieprzańskiej w XVIII w. jako Ukraina Słobodzka. Wiek później ziemie południowe, należące już wówczas do Rosji, zostały skolonizowane przez przybyszów z różnych stron, ale głównie Ukraińców. Krym zachował tatarski charakter etniczny aż do czasu, gdy cały ten naród Stalin przymusowo deportował do Azji Środkowej.

Ukraina historyczna dzieliła się również na dwa odrębne obszary; ta granica istnieje nadal, choć jest już mocno osłabiona. W toku średniowiecznej integracji politycznej tej części Europy, wywołanej zagrożeniem mongolskim, w Królestwie Kazimierza Wielkiego znalazły się dwie prowincje polskie (z istniejących pięciu – pozostałe to Mazowsze, Śląsk i Pomorze) oraz jedna ruska[4]. W efekcie powstała monarchia jednolita politycznie, ale pluralistyczna wyznaniowo i etnicznie.

Był to pierwszy, a po połączeniu z Litwą jedyny w średniowieczu przypadek państwa, w którym obok siebie legalnie funkcjonowały dwie religie. System ten został ukształtowany wspólnym wysiłkiem panów polskich i ruskich; tak zapoczątkowana została tolerancja religijna, która początkowo objęła Rzeczpospolitą, a następnie całą Europę. Również system demokracji obywatelskiej, formujący się przez dwa stulecia na ziemiach Korony, był wspólnym dziełem. Dość przypomnieć, że z województwa bełzkiego pochodził Jan Zamoyski – *trybun ludu szlacheckiego*, co w warunkach wschodniej, agrarnej części Europy było synonimem klasy średniej. Prowadziło to zresztą do zacierania odrębności etnicznych.

Województwa zachodnie – ruskie, bełzkie i podolskie (poza drobnym skrawkiem nad Dniestrem, rozciągające się na wschód od Zbrucza), pozostały przy historycznej nazwie Rusi. Województwa leżące za

[4] Po śmierci Kazimierza Wielkiego na krótko przejęli ją Węgrzy, co znalazło wyraz w tytulaturze ich monarchów: królowie Galicji i Lodomerii (księstw Halickiego i Włodzimierskiego); w 1387 r. przywróciła je Koronie Jadwiga Andegaweńska.

Polesiem, *u kraja* rozległego państwa litewskiego, zaczęto nazywać ziemiami ukrainnymi, później Ukrainą. Zjednoczone przez sejm lubelski1569 roku, szybko zaczęły się upodabniać. Polegało to zwłaszcza na przejmowaniu wolnościowego systemu obywatelskiego – i to nie tylko przez rodzimą szlachtę ukraińską, bo środowiskiem najbardziej chłonnym okazali się kozacy. Na Siczy sejmikowano, wybierano i odwoływano atamanów, zbiorowo decydowano o wspólnych przedsięwzięciach, a starszyzna kozacka ubierała się w szlacheckie stroje – współcześnie bardziej popularne na Ukrainie, niż w Polsce. Dążenia kozackie, aby stopniowo pozyskiwać status szlachty zagrodowej (tak jak to było na Żmudzi, Podlasiu czy Mazowszu), były stopowane przez wielkich magnatów, głównie książąt wołyńskich. Doprowadziło to do buntów kozackich i powstania Chmielnickiego, a w następstwie do podziału Ukrainy. Na Zadnieprzu uformowała się Ukraina Hetmańska – państwo demokracji kozackiej. W końcu XVIII w. została ona inkorporowana do imperium rosyjskiego, w tym samym czasie, gdy Rzeczpospolita została rozerwana przez trzech zaborców. Duch obywatelskich wolności, choć czasowo uśpiony, został jednak wszczepiony silniej, niż komukolwiek mogło się wydawać.

Dalsze podziały były wynikiem kolejnych wydarzeń politycznych. Rozbiory Rzeczypospolitej spowodowały, że najbardziej wysunięta na zachód część Rusi/Ukrainy znalazła się w monarchii Habsburgów. Z czasem stworzono we wschodniej Galicki silny ośrodek odrodzenia narodu ukraińskiego. Koleje wojny i rewolucja w Rosji wysunęły jednak na plan pierwszy Kijów, lecz próba utworzenia państwa ukraińskiego załamała się pod naporem bolszewickiej Rosji.

Nadspodziewanie wielką rolę odegrał traktat ryski 1921 roku. Okazało się, że wytyczona wówczas granica, sztuczna zarówno geograficznie jak etnicznie, rozdzieliła dwa drastycznie odmienne losy. Na ziemiach, które znalazły się w granicach Rzeczypospolitej skonfliktowane narody nie potrafiły znaleźć wspólnego języka. Wiedziano, że istnieje problem, który należy rozwiązać, ale zabrakło zarówno czasu, jak woli i politycznej wyobraźni. Po stronie sowieckiej podobny problem, choć występujący w

znacznie większej skali, postanowiono zlikwidować raz na zawsze siłą. Po krótkim okresie ograniczonego samorządu, z wielkim trudem usiłującego funkcjonować w totalitarnym państwie, Ukraina stała się przedmiotem straszliwego terroru, który kilkakrotnie przechodził w masową eksterminację; po raz ostatni do masowego głodu doszło w końca lat 40. Ludobójstwo, pozbawianie podstaw egzystencji przez tzw. rozkułaczanie, masowe wywózki pociągnęły za sobą śmierć czy wygnanie milionów osób, a przerażającą biedę i dławiący strach, jako element dnia codziennego pozostałych. Ukraińców pozbawiono wolności, sprowadzano do pogardzanych *chachłów*, temu jednemu z najstarszych narodów europejskich parweniusze moskiewscy ukradli nawet historię (Ruryk otwierał – nadal otwiera! – ciąg carów Rosji).

Odmienność sytuacji zapamiętano doskonale. Po jednej stronie granicy ryskiej ludzie mieli prawo krytykować, domagać się zmian swego narodowego położenia, żądać sprawiedliwości. I czynili to. Po drugiej stronie najdrobniejszy objaw nieposłuszeństwa wbijano butem w ziemie. Dla jednych sprzeciw, bunt był czymś naturalnym, dla drugich najsurowiej ściganą zbrodnią.

Takiej zróżnicowanej przeszłości nie miały ani Ukraina Słobodzka, ani ziemie nadczarnomorskie, zagarniane przez Rosję stopniowo w drugiej połowie XVIII w. i poddawanie despotycznej władzy carskiej. W ciągu XIX w. na tym obszarze osiedliła się żywiołowo pewna ilość Rosjan, ale dopiero władza sowiecka rozpoczęła przymusową de-ukrainizację. Spowodowała ona m. in. daleko posuniętą zmianę charakteru narodowego Donbasu. Nic dziwnego, że procesy sowietyzacji były tutaj najszybsze. W czasach sowieckich miejscowa ludność cierpiała tak, jak ogół mieszkańców ZSRS. Równie masowe jak w pozostałej części Ukrainy prześladowań, rzezie i planowe ludobójstwo traktowane były, jako część terroru ogólno-sowieckiego, a nie wymierzonego szczególnie w Ukraińców.

Odrębnie potoczyły się wydarzenia na Krymie. Po eksterminacji i deportacji Tatarów, Sowieci usiłowali przymusowo przesiedlać tutaj

chłopów z zachodniej Ukrainy, co się zresztą nie powiodło. Natomiast miasta południowego wybrzeża szybko nabrały charakteru rosyjskiego. Zaludniały ich głównie dwie grupy ludzi: zasłużeni emeryci średnio-wyższego szczebla administracji sowieckiej (nie każdy miał prawo tam zamieszkać) oraz zawodowa kadra i emeryci Floty Czarnomorskiej oraz pracującego na jej rzecz przemysłu.

Odzyskanie niepodległości w 1991 roku, co było – podobnie jak w 1918 roku – prawie wyłącznie dziełem dokonanym przez mieszkańców historycznej Ukrainy, mogło wydawać się zabiegiem głównie formalnym. Prawie nie istniało poczucie wspólnego losu. Funkcjonowało ono co najwyżej w niektórych regionach. Najsilniej – jako kontynuacja – na ziemiach, które do 1939 roku były w Rzeczypospolitej. We wschodnich i południowych obwodach poczucie wspólnego losu z Rosją wydawało się silniejsze. Gdyby nie przerażający chaos i bezprawie, które tam panowało, jakaś część oderwałyby się zapewne od nowopowstającego państwa.

Patrząc w kategoriach etnicznych, sytuacja była jeszcze gorsza. Znacznie więcej niż połowa mieszkańców posługiwała się w domu językiem rosyjskim, wychowana była w rosyjsko-sowieckiej kulturze. Ukraińskość była dla nich najwyżej folklorem, strojem i przyśpiewkami dla zespołów amatorskich. Tylko w ścisłej Ukrainie zachodniej, za Zbruczem, język rosyjski traktowano jako obcy. W całym kraju szkoły uczyły języka rosyjskiego jako własnego, a gdy zaczęto wprowadzać ukraiński – nauczano go jako obcego, podobnie do angielskiego czy niemieckiego. Nawet mówiąc tym samym językiem, ludzie z różnych okolic nie rozumieli się nawzajem. We wschodniej, a nawet środkowej Ukrainie bojowników walczących z Sowietami o niepodległość swego kraju traktowano jak nazistów, hitlerowskich zbrodniarzy. To prawda, że nie brakowało wśród nich fanatycznych nacjonalistów, że niektórzy (bo przecież nie wszyscy) dopuszczali się czynów straszliwych i haniebnych. Lecz podobnych nacjonalistów nie brakowało również w Polsce, w Czechach, w Niemczech, również w sowieckiej Rosji. Taki był okrutny klimat czasu. Nie wolno zrównywać z nimi ludzi, którzy domagali się wolności.

Taki był punkt narodowego startu Ukrainy. I nagle własna państwowość zaczęła czynić cudy. Ukraina była nieporadna politycznie, źle rządzona, kiepsko gospodarująca, skorumpowana, często niesprawiedliwa wobec własnych obywateli. Ale była – tworzyła zrąb rusztowania, które pozwalało budować wspólne poczucie odrębnego losu. Mówiono różnymi językami, jeszcze na ulicach miast dominował rosyjski – ale tożsamość ukraińska rosła z roku ma rok. Głęboka świadomość narodowa, a nie płytka etniczna. Przebiegało to niemalże niedostrzegalnie, ale raz po raz zaskakiwały nagromadzone efekty. Coraz powszechniejszemu poczuciu wspólnego losu – samookreślaniu tożsamości ukraińskiej, zaczęło towarzyszyć zrozumienie, że za ten los sami Ukraińcy ponoszą odpowiedzialność. Pomarańczowa rewolucja pokazała, że potrafią ją wziąć za swe barki i narzucić rządzącym decyzję. Jednoczący się naród ujawnił swoją siłę i poznał smak zwycięstwa. Polityczne skutki były jeszcze rozczarowujące. Brak rzeczywistej elity (co we współczesnej Europie jest zjawiskiem dość typowym) oraz niedojrzałość klasy politycznej prowadziły do sporów ambicjonalnych oraz konfliktów doraźnych interesów. Wywołany tym kryzys dotyczył już jednak innej Ukrainy. Naród okrzepł, poczucie wspólnego – ale własnego, odrębnego losu nasyciło mocno jeśli nie świadomość, to zbiorową podświadomość ukraińską. Podziały występowały nadal. Językowe łagodniały – wszak przez całą swoją historię Ukraińcy byli społecznością wieloetniczną. Na plan pierwszy wybijać zaczęły się różnice polityczne.

Nie bez powodu. Bo Ukraina stanęła przed koniecznością dokonania wyboru, który mógł rozstrzygnąć o jej losie na następne pokolenia. W dodatku, inaczej niż zasiedziałe w uprawianiu demokratycznych procedur państwa zachodnioeuropejskie, nie dysponowała dostatecznie wykształconym instrumentem, który mógłby rozstrzygnąć zgodnie w wolą większości narodu. Ponieważ Ukraina nie mogła i nie chciała zgodzić się na role wahadła, poruszanego przez niezidentyfikowane moce, pozostawała alternatywa: uczestniczymy w integracji europejskiej albo eurazjatyckiej. Drugie rozwiązanie mogło dać spore doraźne korzyści, pierwsze przynosiło ich więcej, lecz w znacznie dłuższej perspektywie. Zwolennicy obu poglądów, jeśli głosili je uczciwie i zgodnie z własnymi

przekonaniami, w równej mierze musza być uznani za patriotów, troszczących się o los ojczyzny. O patriotyzmie nie decyduje bowiem słuszność wyboru (zależny od mądrości wybierającego), tylko zaangażowanie i poczucie odpowiedzialności. Wariant zachodni, bardziej zgodny z charakterem narodowym Ukrainy, cieszył się większym poparciem – choć trudno dokładniej określić – jakim. W każdym razie nie spotykał się z jakimś głośniejszym sprzeciwem czy to społecznym, czy też wychodzącym z kręgów biznesowo-gospodarczych.

Ingerencja Putina i zaskakująca zmiana orientacji Janukowicza, który w ostatniej chwili odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE, wywołało szok. Ludzie zebrani na Placu Niepodległości nazwali się Euromajdanem. Wola wiązania się z Zachodem była silna, lecz rządzący mieli ją za zero. Janukowicz złamał zasadę *nic o nas bez nas*, która – choć okresami silnie przytłumiona, co najmniej od pół tysiąca lat tkwi w świadomości ukraińskiej. Dojrzały naród, a takim stają się Ukraińcy po dwudziestu paru latach własnej państwowości, nie może się zgodzić, aby decydowano za niego.

Zwłaszcza, że rzeczywistym decydentem okazał się dyktator sąsiedzkiego, ekspansywnego imperium. Zadufany i coraz bardziej niezręczny Putin zdemaskował wariant eurazjatycki: to powrót do ZSRR, dawnego więzienia ludów, tylko zarządzanego przez wąską grupkę wybranych oligarchów. Czym innym jest bliska współpraca, czym innym kolonialna zależność. Przeciwko takiej zależności wystąpili nie tylko zwolennicy opcji zachodniej. Podział polityczny społeczeństwa zaczął się zacierać, na plan pierwszy wybił się wspólny interes narodowy. Wbrew własnym intencjom, przyczyniła się do tego polityka rosyjska. Jak to zwykle bywa, zagrożenie z zewnątrz gwałtownie przyspiesza procesy integracji narodowej.

Jeśli parę dni po rozpoczęciu permanentnej manifestacji sprzeciwu mówiłem o wystąpieniu „ludu ukraińskiego", to zdawałem sobie sprawę, że na Majdanie gromadzą się głównie ludzie z historycznej Ukrainy. Ale głównie to nie znaczy wyłącznie. Ludzie, którzy głosowali na Partię

Regionów i na Janukowycza, w ogromnej większości nie pragnęli utraty własnego państwa, nie chcieli oddać Ukrainy Rosji. Po prostu uważali, że więzy z Rosją są ważne i korzystne, zwłaszcza współdziałanie ekonomiczne. Te argumenty, wyglądające całkiem poważnie jeszcze pół roku temu, nagle zostały zdemaskowane. Zadbał o to sam Putin. Opcje polityczne poszły w kąt. Na Majdanie zaczęli gromadzić się wszyscy, a gdy *siły porządku* zaczęły strzelać, w obronie Majdanu ginęli również chłopcy ze wschodnich obwodów Ukrainy.

Co się dzieje dzisiaj, kiedy flagi rosyjskie wiszą nad Krymem? Jak reagują patrioci ukraińscy, którzy uważali, że Janukowycz ma rację, ale którzy nagle zauważyli, że Janukowycz odnalazł się w Rostowie i mówi po rosyjsku? Bo to jest co innego mówić przeciwko Ukraińcom przez moskiewską rozgłośnię, a co innego być rosyjskojęzycznym Ukraińcem!

Jeżeli dzisiaj mówię „naród ukraiński", to mam ma myśli ogromną przemianę, która nastąpiła – a może tylko ujawniła się w ciągu tych heroicznych zimowych miesięcy. Na widownię wkroczył uformowany, dojrzały naród ukraiński. Blisko ćwierć wieku trwał proces jego odradzania we własnym państwie. Dwadzieścia dwa lata temu języka ukraińskiego (co nie jest najważniejszym wyznacznikiem, choć bardzo charakterystycznym) nie można było usłyszeć na ulicach Kijowa. Dziś jest inaczej. Wyrosło nowe pokolenie Ukraińców, przeobraziły się pokolenia ich ojców i ich dziadków.

Dzisiaj widzimy, że również Ukraińcy mówiący po rosyjsku bronią Ukrainy. Podziały polityczne spadły na plan dalszy. Nie zostały zatarte różnice kulturowe, nawet cywilizacyjne – bo to wymaga pokoleń. Ale przestają rozrywać. Traci znaczenie jakim językiem w danej miejscowości mówi większość. Gdy opowiada się w gazetach czy telewizji, że Charków ma być z natury rosyjski, to mieszkańcy tej metropolii wschodniej Ukrainy wychodzą na ulicę, aby zaprotestować. W blisko milionowym Doniecku, gdzie większość ludzi mówi po rosyjsku, aby okupować siedzibę gubernatora, trzeba było autokarami dowozić manifestantów spoza bliskiej – i na oścież otwartej rosyjskiej granicy. Jak się widzi w

Symferopolu flagi rosyjskie, to dla rosyjskojęzycznych Ukraińców jest to tragedia.

Dzisiaj mamy więc taką sytuację, że, decyduje nie tylko Ukraina historyczna – ten rdzeń niepodległego państwa, ale już cała Ukraina zaczyna decydować. Jest tam na pewno wielu Rosjan, choć trudno powiedzieć ilu. Na Ukrainie mieszka dziś ok. 8-10 mln ludzi mówiących po rosyjsku. To dużo. Ale ogół mieszkańców Ukrainy obliczany jest na 45 milionów. Te 8 czy 10 milionów rosyjskojęzycznych obywateli mieści się gdzieś w przedziale 15-20% ludności Ukrainy. Jakaś część z nich, może nawet znaczna, uważa się za Rosjan – czuje wspólnotę losu właśnie z nimi. Wielu, coraz więcej ma paszporty rosyjskie. Jak ich określać? Może to wymierająca, ale przetrwała jeszcze wspólnota losu sowieckiego (dlatego bronią pomników Lenina), ale może to już rodzące się nowe poczucie wspólnoty losu razem z Rosjanami mieszkającymi w Rosji? Są rozsiani po całej Ukrainie. W najbardziej atrakcyjnych miejscowościach południowego Krymu niewątpliwi Rosjanie (czy raczej ludzie sowieccy) stanowią większość. Ale wewnątrz Krymu, na Krymie stepowym (a to jest większa część Krymu) już nie. Tam większość stanowią Tatarzy krymscy oraz Ukraińcy. Tak zawsze bywa w państwach na obszarach wieloetnicznych, których świadomość narodowa jeszcze nie okrzepła.

Wszystkie chyba polskie gazety przedrukowywały mapki, ukazujące, jak głosowano w ostatnich wyborach prezydenckich. Na Janukowycza 10 obwodów (w 3 przygniatająca większość), na Tymoszenko 16 (w 6 przygniatająca większość). To już historia, a ostry kontrast pomiędzy czerwonym a niebieskim myli. Ogromna większość ludzi, którzy głosowali na byłego prezydenta pragnie zarówno niepodległej, jak całej terytorialnie Ukrainy. Co więcej, z dnia na dzień staje się coraz bardziej antyrosyjska, tym bardziej zajadle, że czuje się oszukana. To zupełnie nowy, błękitno-żółty obraz Ukrainy.

W dłuższej perspektywie, takie poczucie świadomości narodowej Ukraińców będzie się umacniać. Taki przebieg procesu jest już przesądzony. Nie tylko dlatego, że Ukraińcy są gospodarzem własnego

kraju. Po prostu we współczesnej Europie nie ma innych rozwiązań. Warunki zewnętrzne, w tym cywilizacyjne i kulturowe sprzyjają Ukrainie.

W XIX-wiecznej Europie ruchy wyzwoleńcze mogły być dławione siłą. Także w pierwszej połowie XX wieku, w okresie międzywojennym, w Europie wszelkie trudne kwestie można było rozstrzygać siłą militarną. W tym krótkim okresie, przy znacznie mniejszej ilości państw niż dzisiaj, doszło do ponad dwadzieścia przewrotów politycznych, których głównym narzędziem było wojsko. Kilka krajów stanęło na krawędzi wojny domowej, taka mordownia przyniosła Hiszpanii bardziej krwawe straty, niż II wojna światowa większości państw zachodnioeuropejskich. Siłą czy groźbą jej użycia doprowadzono do likwidacji, aneksji, rozbiorów czy utraty części terytorium dziesięciu państw. W drugiej połowie XX wieku takie zmiany były już niemożliwe. Usztywniał to podział na dwa bloki, ale przede wszystkim, przynajmniej w zachodniej Europie, udział ludzi, udział społeczeństw w rządzeniu był większy i rządy musiały bardziej się z tym liczyć. Państwa satelickie wschodniej Europy zostały całkowicie podporządkowane władztwu sowieckiemu, ale Moskwa nie była w stanie ich zlikwidować ani podzielić. Ostatecznie, poczynając od Polski, wszystkie – w tym Ukraina – wyrwały się z niewoli. Dokonały tego własnym wysiłkiem. Pomoc ze strony wolnego świata występowała, ale była ograniczona. Rozpad strukturalny wschodniego obozu napawał nawet niepokojem. Latem 1991 roku prezydent USA przybył, aby ratować ZSRR przed rozpadem. Przemawiając 1 sierpnia w Kijowie na sesji Rady Najwyższej Ukraińskiej SRR, zapewniał: „Wasza przyszłość leży w ZSRR – nowym, lepszym, demokratycznym…" Trzy tygodnie później ta sama Rada Najwyższa ogłosiła niepodległość Ukrainy.

Jakże inny jest dzisiejszy świat. Z mniejszą czy większą, lecz nieprzerwanie rosnącą determinacją, USA, kraje UE, Chiny i liczne inne państwa opowiadają się, a nawet czynnie angażują po stronie Ukrainy. Szykowana jest gigantyczna pomoc ekonomiczna. Z pewna zazdrością możemy wspominać, że nam ani w 1918, ani w 1989 roku takiej pomocy nikt nie udzielił.

Dążeniem, a często tylko marzeniem wielkich polityków jest, aby podjęte przez nich działania trafiły w sprzyjający moment. Ukraina trafiła – szczęśliwie także dla nas, ale i dla reszty Europu. Sprawy jednak, jak zawsze, trochę się komplikują. Niepokoją was wiadomości dnia? Proszę przypomnieć sobie, jak wielcy komentatorzy polityki światowej zastanawiali się, czy i co można zrobić, aby wybitny aktor sceny europejskiej Prezydent Wiktor Fedorowicz Janukowycz nie odcinał się aż tak absolutnie od związków z integracją europejską. Trudno uwierzyć, że to było niespełna cztery miesiące temu.

- Rozmawiał i spisał: Mirosław Lewandowski

Czy może dojść do „drugiego Monachium”?[5]

Putin działa metodami Hitlera. On najwyraźniej je zna i na nich się wzoruje. Hitler zawsze rozpoczynał działania na progu weekendu. Dwa działania Hitlera: remilitaryzacja Nadrenii [7 marca 1936 roku, sobota – ML] oraz Anschluss Austrii [12-13 marca 1938 roku, sobota-niedziela – ML], na których Putin teraz się wzoruje, rozpoczynały się w nocy z piątku na sobotę, w praktyce z pewnym opóźnieniem. Hitler wybierał taki termin, gdyż wiedział, że podczas weekendu demokratyczne rządy nie działają. Podobnie robi Putin: agresja na Krym rozpoczęła się formalnie w sobotę, 1 marca 2014 roku, faktycznie pierwsze oddziały lądowały juz w piątek wieczorem...

Drugie podobieństwo, to sposób uzasadnienia kolejnych zdobyczy. Otóż Hitler nie uzasadniał ich chęcią pozyskiwania nowych terytoriów, tylko koniecznością, ujętą w hasłach: „Idę na pomoc moim rodakom” czy „Bezpieczeństwo Rzeszy tego wymaga”. Podobnie robi Putin.

Ale są różnice. Gdy Wehrmacht wkraczał do Nadrenii, to witały ich tłumy. Podobnie było, gdy kolumny niemieckie maszerowały przez Austrię. Skala entuzjazmu zaskoczyła nawet Hitlera. Decydując się na militarną interwencję, Hitler chciał, aby władzę w Austrii przejęli naziści, co otwierało drogę do późniejszego Anschlussu. Witające tłumy w Linzu, radujące się ze zjednoczenia obu państw niemieckich, spowodowały zmianę decyzji Hitlera. Gdy przybył z Wiednia Seyss-Inquart, nowy kanclerz Austrii i szef NSDAP w tym kraju, z gotowym do podpisu traktatem sojuszniczym obu państw, Hitler powiadomił go o zmianie planów: Anschluss następuje natychmiast.

W przypadku Putina, taka masowa akceptacja nie następuje: większość rosyjskojęzycznej ludności w miastach Krymu, jeśli nawet akceptuje zmianę, pozostaje bierna. Na ulice wychodzą jedynie zorganizowane

[5] Rozmowa przeprowadzona 2 marca 2014 r. Źródło: http://www.teologiapolityczna.pl/leszek-moczulski-czy-moze-dojsc-do-drugiego-monachium/

grupy, które szybko muszą zostać wsparte przez żołnierzy rosyjskich. Żądania niemieckie eskalowały w toku wydarzeń. Rosyjskie ulegają minimalizacji. Uchwała rosyjskiej Rady Federacji dotyczy wprowadzenie wojsk na Ukrainę. Rosjanie interweniują jednak tylko na Krymie – i to pod swoimi flagami. Później pojawiają się kolejno: ochrona praw ludności, aby wybrała, w jakim państwie pragnie żyć; ochrona rosyjskojęzycznej ludności autonomicznej republiki; wyjaśnianie, że to działają nie oddziały rosyjskie, tylko grupy samoobrony.

Druga różnica ma inny charakter. Na tle Putina, Hitler jawi się jako polityk ostrożny. Oddziały wkraczające do Nadrenii w każdej chwili mogą być zatrzymane: rozkaz ataku na Polskę Hitler podjął dopiero po zakończeniu tajnych negocjacji i pozyskaniu czynnego poparcia Związku Sowieckiego; miał nadzieję, że powstrzyma to Wielką Brytanie i Francję przed przystąpieniem do wojny [stąd manifestacyjne podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku – ML].

Putin nawet nie próbował uzyskać czyjegokolwiek poparcia ani przed wkroczeniem na Krym, ani później. Działa tak, jakby Rosja i Ukraina były izolowane. Nawet najostrzej krytykując awanturnictwo polityki Hitlera – która doprowadziła Niemcy do najstraszliwszej w ich dziejach klęski, trudno zaprzeczyć, że Hitler nigdy w takim stopniu nie lekceważył innych państw oraz trwającego w danym momencie światowego układu sił. Putin działa jak człowiek nieprzytomny. Jest przekonany, że skoro Breżniew mógł interweniować zbrojnie w Czechosłowacji i wymusić stan wojenny w Polsce, to on może spokojnie zająć Krym.

Niektórzy obawiają się, że może obecnie dojść do „nowego Monachium" [międzynarodowa konferencja we wrześniu 1938 roku, na której premierzy: Wielkiej Brytanii – Neville Chamberlain, Francji – Edouard Daladier, Włoch – Benito Mussolini oraz kanclerz Rzeszy – Hitler zaakceptowali przekazanie Niemcom tzw. Sudetenlandu na drodze pokojowej – ML].

Przypomnijmy najpierw, w jakich warunkach doszło do konferencji w Monachium. Oba mocarstwa zachodnie, po kilkunastoletnim okresie samo-rozbrajania się (w Wielkiej Brytanii świadomego, we Francji wymuszanego różnymi trudnościami) nie były w stanie podjąć walki z potężnym już Wehrmachtem. Decyzja w istocie spoczywała w rękach Londynu. Chamberlain, który przejął kierownictwo rządu na wiosnę 1937 roku, zastał kraj prawie całkowicie rozbrojony. Nie istniały wojska operacyjne, zdolne do działań na kontynencie; lotnictwo było wyposażone w samoloty z lat dwudziestych; marynarka wojenna była w stanie kontrolować tylko dwa z trzech akwenów strategicznych (Daleki Wschód; Morze Śródziemne i północny Atlantyk; Wyspy Brytyjskie). Po okresie decyzji i opracowywania planów, z końcem 1937 roku rozpoczęła się odbudowa sił zbrojnych, a choć tempo zbrojeń było bardzo szybkie i prześcignęło niemieckie, dopiero wiosną 1939 roku osiągnięto poziom, zapewniający bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii.

Ta przemiana sytuacji strategicznej pozwoliła Londynowi całkowicie zmienić realizowaną politykę. W początku 1938 roku Chamberlain doskonale zdawał sobie sprawę (pisał o tym w prywatnych listach), że głównym zagrożeniem dla Europy jest Hitler, a sytuacje pogarsza fakt, że Stalinowi zależy na sprowokowaniu wojny. W warunkach rozbrojenia Wielkiej Brytanii i słabości Francji, już wczesną wiosną 1938 roku podjął decyzję, że w istniejącej sytuacji do wojny nie można dopuścić. Stąd polityka zyskiwania na czasie. Tym bardziej, że Czechosłowacja była nie do uratowania. Niemcy zakładali, że są w stanie zająć ją w ciągu 4 dni (przygotowany w grudniu 1937 roku plan ówczesnego pułkownika Jodla, za który Hitler awansował go na generała). W takim czasie państwa zachodnie zdążyłyby jedynie ogłosić mobilizację – i nic więcej.

Gdy we wrześniu 1938 roku okazało się, że Hitler usiłuje sprowokować wojnę, Brytyjczycy musieli się cofać. Po wstępnym ustaleniu zasięgu żądań Berlina do terytorium o przytłaczającej przewadze ludności niemieckiej, Brytyjczycy uzyskali zgodę Czechów. Wówczas Hitler odrzucił kompromis, ogłosił, że jeśli do końca września Praga nie

skapituluje, uderzy zbrojnie. Wówczas całe Czechy, a nie tylko Sudetenland, byłyby jego. W takiej sytuacji doszło do konferencji monachijskiej, zainspirowanej przez Londyn, a formalnie przedstawionej przez Mussoliniego. Zaangażowanie Włoch przesądziło, że Hitler musiał się zgodzić.

Do Monachium doszło nie dlatego, że przywódcy Zachodu byli pacyfistami (choć zwłaszcza wśród francuskich polityków ich nie brakowało – poczynając od ministra spraw zagranicznych Bonneta) – lecz dlatego, że gdyby wtedy doszło do wojny, to klęska Zachodu wydawała się nieuchronna. Druga wojna światowa, nim rozpoczęłaby się na dobre, zostałaby wygrana przez Hitlera.

Zwróćmy uwagę na parę faktów. Na wiosnę 1938 roku Brytyjczycy mieli tylko dwa dywizjony nowoczesnych myśliwców (czyli ok. 20 samolotów). Polska była przy nich powietrzną potęgą. Dokładnie rok później dysponowali lotnictwem myśliwskim, wystarczającym do obrony Wielkiej Brytanii i zakończyli budowę pasa stacji radarowych od Szkocji po kanał La Manche. Oczywiście nie była to obrona na tyle szczelna, aby nie dopuścić żadnych obcych samolotów nad własne terytorium – w czasie II wojny światowej żadne państwo nie miało takiej obrony przeciwlotniczej – lecz wystarczająca, aby chronić własne obiekty strategiczne i zadać przeciwnikowi straty, pozbawiające go możliwość kontynuowania ataku. Rządzona przez Front Ludowy Francja jeszcze do wiosny 1938 roku większą część produkcji samolotów myśliwskich potajemnie przekazywała republikańskiej Hiszpanii [gdzie w latach 1936-1939 trwała wojna domowa – ML]. Dopiero po Anschlussie Paryż wstrzymał ten proceder. Pierwszym efektem Monachium stało się natomiast udzielenie przez parlament premierowi Daladierowi niemalże dyktatorskich pełnomocnictwa celem odbudowy siły militarnej. Dlatego Zachód musiał ustąpić – przy pełnej świadomości premiera Chamberlaina, że Hitler szykuje się do podboju Europy i że musi zostać zatrzymany. Co nie przeszkadzało, że politycy – podobnie jak dzisiaj, mieli pełne gęby frazesów pokojowych.

Powtórzmy: Monachium nie zostało spowodowane tym, że Zachód uznał słuszność argumentów Hitlera, lecz było wynikiem bezbronności Zachodu, ujawnioną w sytuacji przymusowej. Co nie oznacza, że polityka mocarstw zachodnich była najlepszą z możliwych. Przywódcy, zwłaszcza francuscy, popełnili wiele błędów – lecz nie zmienia to charakteru istniejącej wówczas sytuacji.

Dzisiaj stan rzeczy jest zupełnie inny. Wprawdzie politycy krajów UE i NATO również znaleźli się w sytuacji przymusowej, lecz wszystkie wydarzenia, a także nacisk opinii publicznej zmuszają ich nie do ustępstw, tylko do aktywnych, stanowczych działań przeciwko agresorowi – putinowskiej Rosji. Chodzi nie tylko o Ukrainę, lecz przede wszystkim o zachowanie ładu międzynarodowego, rozwijającego się w Europie od ćwierćwiecza.

Krajom Zachodu – w tym Polsce, państwom bałtyckim czy Turcji nic nie grozi. A na pewno ani czołgi rosyjskie, ani bomby atomowe. Militarnie NATO jest wystarczająco silne, aby Rosjan w każdej chwili powstrzymać. Przewaga gospodarcza UE, wsparta jeszcze przez USA, jest wielokrotna. Rosja nie dysponuje siłą ideologii, która kiedyś mogła trafiać do wielu ludzi na świecie. Układ sił nie jest nawet odwrotnością Monachium. Wówczas równowaga została naruszona na niekorzyść Zachodu, ale mocarstwa demokratyczne były w stanie względnie szybko przywrócić swoją przewagę. Dzisiaj stosunek sił przytłacza. Rosja jest tylko żałosnym cieniem dawnej potęgi sowieckiej. Przyjmując największe ryzyko, była zdolna okupować niebroniony Krym, ale zatrzymała się przed Donieckiem czy Ługańskiem. Jest to awanturnictwo karła, bardzo dla niego groźne – lecz na nic większego Putina nie stać. Dzisiaj pozwala sobie tylko na śmieszne kłamstewka, że Krym okupują nie wojska rosyjskie, tylko miejscowe siły samoobrony, ludzie, którzy mundury i broń kupili na wyprzedaży w komisie. Stalin też kłamał – ale były to kłamstwa groźne, często straszliwe. Kłamstwa Putina są jedynie śmieszne. Politycy zachodni nie mają najmniejszego powodu, aby bać się

Rosji. Działania Putina uderzają w ich prestiż, wystawiają na próbę jako mężów stanu. Każdy pozorny sukcesik Rosji ma tylko jeden skutek: utwardza i zaostrza sprzeciw.

To prawda, że ciągle możemy obserwować naiwność Zachodu wobec Rosjan. Demaskuje ją energicznie sam Putin. Nie mając w ręku siły, ani przekonywujących argumentów, opowiada bajeczki, które politykę rosyjską sprowadzają do absurdu. W ciągu paru ostatnich miesięcy naiwne przekonanie, że Rosja może być rzetelnym i wiarygodnym partnerem, rozmontował sam Putin. Nieszczęście Rosji polega nie tylko na tym, że jej przywódca wpędził ją w niewątpliwą klęskę; aby z niej wyjść, Putin podejmuje działania, które ją tylko pogarszają, a przy okazji niszczy wszystkie swoje atuty. Płaci za to drogo – ale płacił będzie długo również jego następca. Oczywiście, jakieś przejawy naiwności Zachodu wobec Putina będziemy dalej obserwować, ale to nie będzie taka naiwność, że Zachód powie – „Putin ma rację!".

Nie dostrzega się jeszcze jednej, bardzo istotnej różnicy pomiędzy czasem Monachium, a obecnym. Wówczas, dwadzieścia lat po straszliwej wzajemnej rzezi Europejczyków, wszyscy pragnęli pokoju. Wracających z Monachium premierów witały entuzjastyczne tłumy. Dzisiaj – dzięki technicznym środkom masowego przekazu, opinia publiczna organizuje się szybciej i pełniej, a jej presja na rządzących jest bez porównania większa.

Przypomnijmy, że wojnę wietnamską USA przegrało we własnej telewizji. Dzień w dzień pokazywano straszliwe sceny na ekranach domowych - i Amerykanie mieli wreszcie dość tego. Teraz mamy czołgi, helikoptery, strzelaniny na Krymie. A wcześniej płonący Kijów. Były to głównie ogniska i płonące opony, ale na zdjęciach telewizyjnych wyglądało, jakby Kijów płonął. Tak też było to odbierane przez setki milionów telewidzów. To było przygotowanie. A potem wjechały czołgi rosyjskie.

Cóż teraz przywódcy Zachodu mogą powiedzieć własnym obywatelom, karmionym wcześniej takimi obrazami? Czy to, że Putin miał rację, gdy złamał kartę ONZ, protokół budapeszteński z 1994 roku, prawo międzynarodowe?

Po rozmaitych kłopotach, niepowodzeniach w Iraku i Afganistanie, po obniżeniu prestiżu międzynarodowego USA – Waszyngton może dzisiaj, i to bez żadnego ryzyka, pokazać światu, że jest mocarstwem globalnym, zdolnym zastopować wszystko, co narusza pokojowy ład międzynarodowy. Politycy europejscy, też bez najmniejszego ryzyka mogą wystąpić – 10 tygodni przed wyborami w UE – jako stanowczy, odważni, skuteczni mężowie stanu. Taka okazja zdarza się rzadko. W minionym stuleciu ani razu.

Dlatego nie ma dzisiaj ryzyka, że dojdzie do „drugiego Monachium".

- Rozmawiał i spisał: Mirosław Lewandowski

Rosyjska wydmuszka[6]

Rosja z wielkim wysiłkiem, stosując różne działania polityczne (tajne rozmowy, obietnice, pod koniec chyba nawet brutalne naciski ekonomiczne i polityczne na ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza), dążyła do tego, aby Ukraina pozostała z nią w jakiegoś rodzaju związku międzypaństwowym. Gdy już się wydawało, że działania Władimira Putina odniosły skutek, sprzeciw narodu ukraińskiego ten sukces przekreślił. Dzisiaj już nie może być mowy o udziale Ukrainy w jakimkolwiek związku z Rosją, chyba że miałaby to być okupowana Ukraina z rządem satelickim. Nie może już być mowy, aby jakikolwiek rząd w Kijowie zgodził się na porozumienie, które uzależniałoby Ukrainę od Rosji. Powód jest prosty: nie zgodzą się na to Ukraińcy. Decydujący stał się wielki ruch społeczny, reprezentujący z pewnością nie wszystkich, ale jednak większość Ukraińców. Marzenie Putina, że Ukraina znajdzie się w unii celnej kierowanej przez Moskwę, należy więc już do przeszłości.

Osobista klęska Putina

Stawia go to w bardzo trudnej sytuacji. To jego osobista klęska. Putinowi udało się uporządkować Rosję przy zastosowaniu półtotalitarnych metod. Wprawdzie nie zlikwidował korupcji ani nie urządził poprawnie państwa, lecz władza spokojnie rządzi, a ludzie jej słuchają. Putin osiągnął sukcesy w polityce zagranicznej. Umacniał pozycję Rosji, która weszła do grupy najbogatszych państw świata G8, sam też był dobrze przyjmowany na całym świecie. Nie przyniosło to co prawda Rosji większych realnych korzyści, ale Rosjanom dawało poczucie, że ich kraj znowu staje się mocarstwem.

Ale w kluczowych sprawach Putin nie odnotował sukcesów. Nie udało się mu zjednoczyć Rosji, która jest rozrywana przez regionalizmy. Cały obszar przedkaukaski (między Kaukazem a Donem – tzw. obszary rosyjsko-kozackie) jest związany z Rosją tylko dlatego, że bez Rosji oni

[6] Tekst opublikowany 18 marca 2014 r. Źródło: http://www.rp.pl/artykul/1095012.html

nie utrzymaliby w posłuchu ludów Kaukazu, z którymi są w stałym konflikcie. Działają ich własne, partykularne interesy. Własne, partykularne interesy ma Daleki Wschód, wschodnia Syberia, tak samo Petersburg, Kaliningrad...

Na swoje konto Putin może zapisać również poważne niepowodzenia strukturalno-gospodarcze. W ciągu ostatnich 20 lat Rosja przestała być mocarstwem przemysłowym. W ubiegłym roku ponad 70 proc. wpływów z eksportu rosyjskiego dawała sprzedaż ropy naftowej i gazu ziemnego. To oznacza, że wszystko inne (przemysł, górnictwo, rolnictwo) przynosi Rosji tylko ok. 1/4 przychodu z eksportu. Struktura handlu zagranicznego Rosji upodobniła ją do republiki bananowej – Rosja żyje tylko z płynnych i gazowych surowców energetycznych.

Na dodatek nagle się okazało, że Rosja, która rzekomo jest mocarstwem, straciła Ukrainę. Okazało się również, że przywódca Rosji, który – wydawało się – był szanowany w polityce zagranicznej, poniósł spektakularną klęskę na arenie międzynarodowej. Przede wszystkim stracił wiarygodność – wypracowywaną latami w wielkim trudzie. Zza maski spokojnego, lecz stanowczego męża stanu wyjrzał znerwicowany, szarpany emocjami despota. Rangę klęski sam wyolbrzymił, nadając pozyskaniu Ukrainy do unii celnej czy eurazjatyckiej najwyższy wymiar. Przy każdej okazji podkreślał, że związek z Ukrainą jest Rosji niezbędny, że w znacznej mierze decyduje o jej planach imperialnych. Był święcie przekonany, że Kijów jest już jego. A tu nagle jacyś ludzie, którzy całą zimę przetrwali na Majdanie, wysuwając jakieś nierealne żądania, ukradli mu Ukrainę. I gardło ścisnął mu strach. Po takiej klęsce Putin może się obawiać, że jego prezydentura jest zagrożona.

Czując, że jego przywództwo w Rosji jest niepewne, Putin zachowuje się jak szuler w czasie gry w karty. Przegrywając, zaczyna podbijać stawkę, posługując się prawdziwymi i fałszywymi żetonami. Ale nie jest w stanie wygrać, za mało ma tych żetonów i za słabe karty. Podbijając stawkę, powoduje, że jego sytuacja staje się coraz trudniejsza. Rozwoju wydarzeń na Ukrainie odwrócić już mu się nie uda.

Rzucić przeciwnika na kolana

Co teraz może zrobić? Na Krymie – wszystko, co zechce. Przez 15 minut. Bo każdy jego krok musi wywołać nieprzychylną reakcję Zachodu, za każdym razem ostrzejszą, nawet jeśli początkowo większość krajów zachodnich preferowała działania maksymalnie łagodne. Reakcja jednak być musi, gdyż Putin – jak słoń w składzie drogocennej porcelany – narusza zasady uważane dziś przez Zachód za święte, rujnuje ustabilizowany porządek europejsko-atlantycki, szkodzi interesom licznych państw, a także boleśnie rani prestiż wpływowych polityków.

I rzecz najważniejsza: sprawa wyszła daleko poza Ukrainę. Zakwestionowany został bowiem porządek polityczny Europy, budowany przez ostatnie półwiecze. A na to UE nie może się zgodzić. Dla USA zaś – po latach kruszenia rangi mocarstwa globalnego – pojawiła się nadzwyczajna okazja: bez ryzyka rzucić Rosję na kolana. Barack Obama zrozumiał, że przejdzie do historii jako prezydent, który pokonał najgroźniejszego historycznego konkurenta.

Ale do rozwiązania obecnego kryzysu działania militarne Zachodu nie są konieczne. Ten konflikt ma już kształt militarny, choć wciąż nie jest to konflikt zbrojny (bo się nie strzela). Jest to pokojowa rywalizacja potencjałów wojennych. Aby nie dopuścić do przekształcenia działań militarnych w konflikt zbrojny i zmusić Rosję do wycofania się, wystarczy kontrakcja gospodarcza i dyplomatyczna.

Ronald Reagan nadał zimnej wojnie wymiar ekonomiczno-finansowy – i ZSRR pękł, gdyż nie był w stanie udźwignąć kosmicznego ciężaru wyścigu zbrojeń. Dzisiaj przez podobne działania, wzmocnione przez presję dyplomatyczną, można wymusić całkowite wycofanie się Rosjan z całego terytorium Ukrainy. Pod warunkiem jednak, że zostaną one podjęte na czas i dostatecznie stanowczo.

Demokratyczne kraje zachodnie, a wśród nich także wyróżniająca się Polska, mają do wyboru bogatą gamę środków. Na przykład ograniczone sankcje gospodarcze, takie jak embargo na niektóre technologie, zwłaszcza związane z rozwojem informatyki czy wydobyciem ropy lub

gazu. Zastosowanie tego rodzaju sankcji szybko rozłoży na łopatki te dziedziny gospodarki rosyjskiej, które zostaną nimi objęte. Można zawiesić istniejące porozumienia gospodarcze, umowy handlowe, podjąć procedurę zawieszenia członkostwa Rosji w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Zważywszy na to, że handel zagraniczny z Rosją nie ma dla Zachodu większego znaczenia, jest on w stanie z niewielką szkodą dla siebie zawieszać czy blokować wybrane porozumienia ekonomiczne.

Nie chodzi tylko o działania państwowe. Doskonałym narzędziem jest wycofywanie walorów finansowych z Rosji, wstrzymywanie czy odraczanie inwestycji, zawieszanie wykonywania transakcji, przerywanie zaczętych rozmów, odraczanie czy odwoływanie wizyt.

W jedną stronę gaz, w drugą pieniądze

Można zadać spektakularny cios eksportowi rosyjskiej ropy i gazu. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że stałą rosyjską groźbą jest zakręcenie kurków. Już parę razy Rosja przerwała dostawy na parę dni, raz bodaj na tydzień. Przyzwyczailiśmy się więc wierzyć, że moskiewski szantaż to skuteczne narzędzie, którym Kreml może się posłużyć, kiedy tylko zechce. Jak gdyby Salwador zagroził, że wstrzyma eksport bananów – tylko w o wiele większej skali. Świetnie, tylko z czego będzie żył?

Rurociągi mają to do siebie, że ruch jest dwustronny. W jedną stronę płynie ropa lub gaz, w drugą – pieniądze. Te pieniądze są podstawą funkcjonowania Rosji. Wstrzymanie dostaw spowoduje u odbiorców czasowe trudności, ewentualnie konieczność zakupu surowca po nieco wyższej cenie. Większość krajów ma zresztą zapasy gazu na trzy miesiące. Na rynkach jest znaczna nadwyżka ropy naftowej. Łatwo można uruchomić eksport paliw płynnych z Iranu, który jest jednym z ich głównym producentów, potrzebuje gotówki, a na dodatek porozumienie amerykańsko-irańskie staje się realne. Co jednak będzie, jeżeli na tydzień czy dwa zostanie wstrzymane przyjmowanie rosyjskiej ropy lub gazu? USA w ogóle nie ucierpią. W Europie Zachodniej wystąpią okresowe kłopoty – może przykre, ale niezbyt wielkie. Rosja zaś stanie na progu

katastrofy finansowej. Do tego dojdzie gorzka świadomość, że Kreml nie dysponuje żadnym narzędziem, które może realnie zagrozić Europie.

Na początek wystarczy tylko ujawnić zagrożenie. Specjalnie tego nie ukrywając, można rozpocząć przygotowania, aby możliwie bezwstrząsowo przetrwać okres, w którym dostawy surowców energetycznych z Rosji zostaną wstrzymane czy ograniczone. Zresztą wszelkie działania zmierzające do dywersyfikacji dostaw są wskazane. Przykładowo, przyspieszenie prac końcowych nad budową gazoportu w Świnoujściu mieć będzie sporą wymowę polityczną. Działania gospodarcze powinny zostać uzupełnione środkami dyplomatycznymi.

Arsenał narzędzi do wywierania presji na Rosję jest olbrzymi. Jest jednak mało prawdopodobne, aby wszystkie najostrzejsze działania zostały zastosowane w ciągu kilku dni. Zachód może zdecydować się na stopniowe kroki. Nie doprowadzą one zapewne do natychmiastowej ewakuacji wojsk rosyjskich z Krymu. Z punktu widzenia interesów Ukrainy będzie to bolesne. Znacznie groźniejsze jednak będzie to dla Rosji. Im szybszy kryzys, im szybsza klęska – tym mniejsze koszty. Zachód bowiem będzie musiał systematycznie zwiększać skalę i zakres sankcji ekonomicznych – czyli działać krusząco. Jednorazowe potężne uderzenie ekonomiczne, zmuszając Rosję do natychmiastowego odwrotu politycznego, byłoby ciosem niszczącym, lecz niepozbawiającym jej szansy na podniesienie się z upadku. Przy eskalacji powolnej gospodarka Rosji zostanie zniszczona od podstaw, bez szansy ratunku.

W tej wersji, niestety, wielką cenę zapłaci także gospodarka Ukrainy – chyba że na czas otrzyma wystarczającą pomoc. Trudno powiedzieć, czy przy dzisiejszym stanie nerwów rozumie to przegrany już Putin, ale z pewnością zdają sobie z tego sprawę szefowie gospodarki i niektórzy kremlowscy politycy. I nie będą się godzili na zbiorowe samobójstwo.

Niepodległość Ukrainy przesądzona

Trudno powiedzieć, kiedy sytuacja na Ukrainie wróci do normy. Niektóre sprawy mogą się długo ślimaczyć. Pewne kwestie są już jednak rozstrzygnięte. O ile pół roku temu można było rozważać sytuację, że

jakieś tereny ukraińskie przejmie Rosja albo że Ukraina zostanie przekształcona w konfederację trzech lub czterech na wpół samodzielnych prowincji, o tyle obecnie nie ma i być nie może na to zgody – ani Ukraińców, ani społeczności międzynarodowej. Jedynym rozwiązaniem, które jest do przyjęcia, pozostaje wycofanie wojsk rosyjskich i przywrócenie jedności Ukrainy. Niepodległość i integralność terytorialna tego kraju jest już więc przesądzona. Podobnie jak klęska Rosji. Tę klęskę niedoszłego imperium zauważą wszyscy sąsiedzi. Rosja gwałtownie utraci swój mocarstwowy autorytet.

Będzie to dość zabawnie wyglądało w Polsce. Od 15 lat jesteśmy karmieni opowieściami o potędze i wpływach Rosji. Cała propaganda współgra z tym, czego znaczna część polskiego społeczeństwa nauczyła się w szkołach i na uniwersytetach w czasach PRL i później. Mówi się uczenie w telewizji, że Ukraina wobec Rosji jest bezbronna. A tu nagle okazuje się, że Rosja z Ukrainą sobie nie poradziła. Jeszcze trochę i okaże się, że ten mroczny cień po imperium Lenina – Stalina, usiłujący kosztem własnego społeczeństwa odbudować superpotęgę rosyjską, to tylko pusta w środku wydmuszka.

- Notował: Mirosław Lewandowski

Marzenia w Rosji nazywają się geopolityką[7]

W publicystyce bardzo często pojawiają się opinie, że dzisiejszy kryzys ukraiński przypomina sytuację z końca lat trzydziestych. Padały m. in. sformułowania, że realna jest perspektywa „nowego Monachium" – porozumienia się Zachodu z Rosją kosztem interesów ukraińskich. Czy istnieją jakieś analogie?

Karol Marks pisał, że „historia powtarza się: najpierw jako tragedia, drugi raz jako farsa". W tym sensie można by zestawić sytuację dzisiejszą, ale z rokiem 1938 – choć będzie to farsa zupełnie głupkowata. Chamberlain prowadził pragmatyczną brytyjską politykę imperialną, której zasadą była następująca: mocarstwo europejskie, które dąży do dominacji nad Europą, musi zostać zniszczone. O ile to możliwe – bez uciekania się do wojny. Jeżeli porównamy to z dzisiejszą sytuacją, to musimy zadać sobie podstawowe pytanie: kto tu jest mocarstwem? Oczywiście, że nie Rosja, tylko Zachód. Pod każdym względem są to nieporównywalne wielkości.

Jednak jeszcze kilkadziesiąt lat temu Związek Radziecki konkurował z Zachodem jak równy z równym.

Do lat 70. ubiegłego stulecia mieliśmy do czynienia ze światem dwubiegunowym. Biegunem określamy ośrodek, który przyciąga, skupia wokół siebie mniejsze kraje, narzuca im jakieś (formalne lub nieformalne) ograniczenia. Stany Zjednoczone ściągały uwagę innych państw przez bogactwo, możliwości, gwarancje bezpieczeństwa. Narzędziem sowieckim była natomiast ideologia i przymus. Około roku 1970 pojawił się trzeci biegun – chiński, który z jednej strony posługuje się takimi narzędziami, jak przymus i ideologia, z drugiej – olbrzymim skokiem gospodarczym. Świat zaczął stawać się wielobiegunowy.

---

[7] Wywiad ukazał się w grudniu 2014 r. na stronie: http://www.fronda.pl/a/leszek-moczulski-marzenia-w-rosji-nazywaja-sie-geopolityka,45436.html. Pierwotnie opublikowany w kwartalniku „Fronda LUX" (nr 73/2014).

Związek Radziecki najpierw stracił status bieguna, następnie status wielkiego mocarstwa i zaczął się rozsypywać. Moskwa musiała oddać kraje obozu sowieckiego, aby utrzymać Związek Radziecki, a gdy okazało się to niewystarczające – zrezygnować z republik sowieckich, aby zachować w całości Rosję. Działo się tak, nawet mimo poparcia Amerykanów, którym w latach 1990-91 zależało na utrzymaniu niegroźnego już Związku Sowieckiego, który miał być czynnikiem stabilizacji w rzekomo zagrożonym anarchizacją regionie.

Jak poważne są te różnice między Związkiem Radzieckim a dzisiejszą Rosją?

Różnica są przede wszystkim jakościowe. W momencie, kiedy funkcjonował świat dwubiegunowy i zaczynał się wyłaniać świat wielobiegunowy, Związek Radziecki był drugim albo trzecim mocarstwem gospodarczym świata. Dziś Rosja z trudem mieści się w pierwszej dziesiątce. Bo jeśli przeliczymy PKB po nowych, niższych cenach ropy naftowej, to Korea Południowa wyprzedzi Rosję w tym zestawieniu. To są porównywalnej wielkości gospodarki, ale nikt przecież nie powie, że Korea Południowa jest światowym mocarstwem.

Druga różnica jakościowa: gospodarka Związku Radzieckiego była oparta o rozwinięty przemysł przetwórczy. Rosja nie jest mocarstwem przemysłowym, ale mocarstwem bananowym, tzn. żyjącym z eksportu jednego towaru – surowców energetycznych – którego nie tworzy, tylko pozyskuje. Gospodarka radziecka była w minimalnym stopniu uzależniona od gospodarki światowej – w przeciwieństwie do gospodarki rosyjskiej, która jest całkowicie zależna od sytuacji na rynkach światowych. Względnie drobne zmiany w cenach ropy naftowej, niezależnych od rządu czy giełdy moskiewskiej, dają Rosji nadmiar środków, albo ich niedostatek. W związku z tym nie można nawet zaplanować w miarę pewnego budżetu na kilka lat do przodu.

Niemcy hitlerowskie w 1938 roku miały ogromny potencjał produkcyjny i gospodarczy, który osiągał pierwsze lub drugie miejsce na świecie. Ten potencjał został stworzony jeszcze przed 1914 rokiem, nienaruszony i

rozbudowany w pierwszej wojnie światowej, a zniszczony dopiero wskutek katastrofy w drugiej. Przez całe dwudziestolecie Niemcy rozbudowywały swój potencjał. Rzesza hitlerowska robiła to metodami awanturniczymi, drukując papiery wartościowe, które w rzeczywistości żadnej wartości nie miały – ale pozwoliło to jej uruchomić w pełni posiadany potencjał gospodarczy i odbudować potężny Wehrmacht – stając się jedną z największych potęg świata.

W Rosji funkcjonuje jeszcze przemysł zbrojeniowy…

… który w związku z wojną rosyjsko-ukraińską dostał straszliwy cios, co było zapewne jedną z przyczyn ostrej, a w istocie rozpaczliwej, awanturniczej polityki Putina, ponieważ Ukraina była poważnym partnerem w tym zakresie. Przy czym Ukraina nie produkowała (może poza czołgami – ich największa fabryka na świecie jest w Charkowie) wyrobów finalnych, tylko ich części. Przykładowo, wszystkie wojskowe śmigłowce rosyjskie mają ukraińskie silniki, dopiero od bodajże dwu lat Rosjanie zaczęli produkować własne. Ale najbardziej nowoczesny przemysł zbrojeniowy to wcale nie Donbas, tylko Dniepropietrowsk, Zaporoże itd. Rosyjski przemysł zbrojeniowy (podobnie jak ukraiński), jest w zasadzie jedynym przemysłem pomyślanym na eksport – głównie do krajów Trzeciego Świata. Wartość sprzedaży nie jest jednak imponująca – stanowi co najmniej połowę (a niektórzy twierdzą nawet, że jedną trzecią) wartości eksportu wyrobów spożywczych z Polski. A przecież Polska nie jest jakimś mocarstwem gospodarczym, w tym – rolniczym.

Mówimy o gospodarce, ale chyba nie można zapominać, że Rosja jest państwem, która przeznacza olbrzymie sumy na zbrojenia.

Formalna mocarstwowość militarna Rosji opiera się na jednym, samotnym czynniku: broni rakietowo-nuklearnej. Rosjanie mają mniej więcej tyle głowic nuklearnych, ile miał Związek Radziecki. Ale strategiczna broń nuklearna nie ma współcześnie możliwości wojskowego zastosowania. Mamy dwa rodzaje tej broni: masowego zniszczenia i

precyzyjnego rażenia. Broń masowego zniszczenia miała zastosowanie wyłącznie polityczne: podczas zimnej wojny uniemożliwiała rozpoczęcie globalnego konfliktu. Wojskowo można było ją wykorzystać tylko w jednym przypadku – w celu zniszczenia przeciwnika kosztem zniszczenia samego siebie. Słowem: wojna dla samej wojny, bez celu politycznego. Stany Zjednoczone nie chciały wojny, co wymagało posiadanie broni nuklearnej, gdy Związek Radziecki nie był dość silny, aby globalną wojnę rozpocząć, lecz broń nuklearną musiał mieć.

Dlaczego musiał?

Ponieważ będąc biegunem polityki światowej, musiał uzyskać status wielkiego mocarstwa. Bez strategicznej broni nuklearnej nikt by go za takie mocarstwo nie uznał.

Teoretycznie rzecz biorąc, biegunem polityki światowej może być kraj, który nie ma statusu wielkiego mocarstwa, ale przyciąga i grupuje wokół siebie inne kraje oraz organizuje wykorzystanie ich energii społecznej. Kiedy w XVIII wieku zaczynał formować się biegun zachodni, początkowo w Wielkiej Brytanii, to nie była ona jeszcze wielkim mocarstwem europejskim i nie angażowała się mocniej w kontynentalne przepychanki, a tym samym nie zużywała swoich zasobów energii społecznej. Natomiast Sowieci uważali, że sama idea komunistyczna, liczba ludności i rozległe terytorium nie są wystarczające, dlatego chcieli mieć status wielkiego mocarstwa. Potrzebowali jakichś materialnych dowodów, które by ten status potwierdzały. Ponieważ nie mogła przewodzić światowej nauce czy kulturze ani stać się wiodącą potęgą gospodarczą, kontynuowała model, przyjęty grubo wcześniej przez carat: potężne siły zbrojne.

Uchodziły za największe na świecie.

Chińskie były jeszcze większe – w początku lat 40. ubiegłego wieku ponad 25 milionów w szeregach. Jednak wcale nie oznaczało to, że z tego względu wszyscy będą uważać je za wielkie mocarstwo. W przypadku ZSRR – cóż to za wielkie mocarstwo, które nawet posiadając bardzo silną

armię prosi, aby sprzedawać mu zboże – i to po niskich cenach, bo nie ma pieniędzy? Trzeba było stworzyć taką sytuację, w której czynnik militarny stał się głównym elementem wielkomocarstwowości. Wojsko najbardziej cenne jest podczas wojny, wtedy wszystko zależy od niego. Ale Związek Radziecki nie mógł rozpocząć wojny – m. in. dlatego, że był za słaby gospodarczo, a więc nie mogli rozbudować wojska do potrzebnego poziomu. Wybrano więc – raczej intuicyjnie, niż rozumowo – szczególną koncepcję. Wystarczy prowadzić politykę, która będzie utrzymywała świat na krawędzi wojny. Spowoduje to, że czynnik militarny stanie się znów najważniejszy. Kilka tysięcy pocisków nuklearnych, gotowych do użycia wystarczało. Wprawdzie dość szybko zorientowano się, że to broń polityczna, nie do użycia militarnego – ale aby utrzymać równowagę, trzeba było konstruować i budować coraz to nowe i nowe.

Wróćmy do roku 1938. Otóż Hitler miał już potężną armię – i to nie polityczną, ale realną, gdy Wielka Brytania była jej prawie pozbawiona. Przez kilkanaście lat wydatki na obronę utrzymywała na najniższym możliwym poziomie. RAF miał samoloty z początku lat 20., operacyjne wojska lądowe nie istniały, a Royal Navy, choć najpotężniejsza na świecie, była w stanie kontrolować tylko dwa akweny strategiczne, gdy istniała konieczność obrony trzech. Francuzi dysponowali armią potężną, ale bardzo osłabioną redukcjami, które prawie nieprzerwanie następowały po poprzedniej wojnie, z niedostatkiem nowoczesnego sprzętu. Cóż z tego, że produkowała nowoczesne samoloty, skoro przez ostatnie kilkanaście miesięcy prosto z fabryk potajemnie kierowała większość dla republikańskiej armii hiszpańskiej? Zresztą, dwa lata rządów Frontu Ludowego wpędziły gospodarkę francuską w głęboki kryzys. Groźby wojenne Hitlera w Paryżu i Londynie odbierane były, jako zapowiedź militarnej klęski. Konieczny był rok – dwa, aby wykorzystując własny wielki potencjał gospodarczy, uzyskać przewagę militarną nad Rzeszą i nie dopuścić, aby Hitler rozpętał wojnę. Dlatego Chamberlain musiał jeździć do Berchtesgaden, Bad Godesberg czy do Monachium – i grzecznie się zachowywać, co robił z niemałym wstydem. Rok później sytuacja militarna była już inna, a przywódcy francuscy czy brytyjscy zachowywali się zgoła inaczej.

W czasie zimnej wojny czynnik militarny dalej pozostawał tym głównym.

Liczba pocisków rakietowych z głowicami nuklearnymi świadczyła o potędze państwa. Ich posiadanie stanowiło narzędzie polityczne uniemożliwiające wybuch wojny, a równocześnie potwierdzało status wielkiego mocarstwa. De Gaulle, wbrew najpotężniejszym graczom na scenie światowej, zaczął budować siłę nuklearną dla wywindowania pozycji politycznej swojego państwa. Doskonale wiedział, że i tak warunkiem efektywnego powstrzymania ewentualnego ataku Związku Radzieckiego jest akcja Stanów Zjednoczonych. Dlatego przy całej swojej polityce emancypacji od Stanów Zjednoczonych w okolicznościach przełomowych stawał po stronie Waszyngtonu – tak jak w czasie kryzysu kubańskiego, kiedy momentalnie zapewnił, że USA może w zupełności polegać na Francji.

Powtarzam jednak: dzisiaj broń nuklearna, jako narzędzie polityczne jest reliktem minionej epoki – w okresie zimnej wojny obie strony zdawały sobie przy tym sprawę, że nie mogą jej militarnie wykorzystać. Obecnie część polityków czy dziennikarzy o tym zapomniała. Dzisiaj do takiej metody mogliby sięgnąć tylko terroryści lub państwa skrajnie fundamentalistyczne, które nie liczą się z druzgocącym atakiem odwetowym. Proszę zwrócić uwagę: Izrael stworzył broń nuklearną, aby się zabezpieczyć przed wrogimi państwami arabskimi. Schemat myślenia był następujący: jeśli np. Egipcjanie na nas ruszą, zrzucimy bombę atomową na Kair, co spowoduje klęskę, z której Egipt nigdy się nie podniesie. A dzisiaj? W konfrontacji z Hamasem takie zabezpieczenie Izraela jest bezużyteczne – determinacja terrorysty w odróżnieniu od determinacji szefa normalnego państwa, nie liczy się z biologicznym przetrwaniem. Zagrożenie nuklearne można i trzeba dzisiaj traktować poważnie, ale w granicach realiów. Trzeba wcześniej zadać sobie pytanie, skąd to zagrożenie może przyjść – bo na pewno nie ze strony Rosji. To nie przeciwko państwu Putina Amerykanie budują tarczę antyrakietową.

A zagrożenie konwencjonalne?

Armia rosyjska nie jest w stanie prowadzić wojny światowej, co najwyżej konflikty lokalne. Parę lat temu w Gruzji udało się Rosjanom wygrać małą wojenkę, choć działania wojskowe przeprowadzono bardzo nieudolnie. Skutki były takie, że Rosjanie zaczęli przebudowę armii, aby przygotować ją prowadzenia działań konwencjonalnych. W przypadku Ukrainy widzimy, do jakiego stopnia się to udało. Specjalnością rosyjską, rozwijaną jeszcze w Związku Radzieckim, jest wojna subwersyjna – czyli sterowana z zewnątrz rewolucja w drugim kraju. Można powiedzieć, że rozwinęli to lepiej niż Hitler, który w przeciwieństwie do Putina nie potrafił zorganizować wojskowo mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji. Proszę pamiętać, że w Drugiej Rzeczypospolitej Korpus Ochrony Pogranicza powstał właśnie po to, aby udaremnić Związkowi Radzieckiemu prowadzenie wojny subwersyjnej na naszym terenie.

Wojsko, które kierowała Rosja do Ukrainy przeznaczone było właśnie do roboty dywersyjnej, wywrotowej. Okazało się jednak, że rozbudowany Specnaz nie wystarcza. Dzięki czemu Rosjanie zaczęli odnosić sukcesy w Donbasie? Bo skierowali tam jednostki spadochronowe. Czemu nie zwykłe dywizje liniowe? Formowanie, wyposażenie i szkolenie jednostek desantu powietrznego jest wyjątkowo drogie. Nie wykorzystuje się ich do innych zadań, niż atak z powietrza. Byłoby to czyste marnotrawstwo. Chyba, że w sytuacji krytycznej. Sowieci w 1941 roku mieli trzy dywizje lotniczo-desantowe – niepełnie uzbrojone i niedostatecznie wyszkolone – których użyli operacyjnie dopiero w obronie Moskwy! Tego typu oddziały nie mają rzeczywistej broni ciężkiej, są przewidziane tylko do zaskakujących ataków z powietrza, zajmowania kluczowych punktów i bronienia ich do przyjścia jednostek liniowych. Dlaczego sięgnął po nie Putin? Bo te jednostki przeszły już modernizację i doszkolenie, gdy pozostałe są jeszcze w takim samym stanie, jak podczas wojny gruzińskiej. Dlaczego sięgnął? Bo groziło, że Ukraińcy zduszą całkowicie separatystów, najemników i wspierający ich Specnaz. Oddziały ukraińskie, regularne i ochotnicze, są słabo wyszkolone, gorzej uzbrojone – ale zdeterminowane, wiedzą o co walczą. Gdyby uzyskały końcowy sukces, zdemaskowałoby to słabość militarną Rosji. A że straty

spadochroniarzy okazały się nadspodziewanie wysokie, Putin tym bardziej musiał zgodzić się na rozejm.

Może nawet bardziej niż zagrożenia wojną podkreśla się zagrożenie okresowego wstrzymania dostaw rosyjskiego gazu, od którego Europa jest mimo wszystko w jakimś stopniu uzależniona.

To tylko pozornie dowód uzależnienia innych od Rosji, a w rzeczywistości dowód na uzależnienie Rosji od innych. W najbliższym czasie w Kłajpedzie zostanie uruchomiony gazoport: Litwa będzie w stanie odbierać tyle gazu, że będzie mogła zaspokoić potrzeby wszystkich krajów bałtyckich i część odsprzedać Polsce. Część przeznaczy nawet na eksport dla krajów bałtyckich i Polski. Do wiosny przyszłego roku zacznie działać nasz gazoport (od dłuższego czasu mamy już naftoport w Gdańsku). Dla nas odcięcie ropy naftowej rodzi jedynie konieczność znalezienia innej drogi dostaw, a co za tym idzie wydania większych pieniędzy przez jakiś czas. Nic więcej. Oczywiście, musimy przez cały czas otrzymywać znaczne rezerwy gazu, co jest dosyć kosztowne. Natomiast Rosji pieniądze z nieba nie spadną. Zresztą przy obecnym kursie ropy naftowej wszystkie plany finansowe Moskwy legły w gruzach. Rosjanie przyjęli w budżecie, że cena za baryłkę ropy naftowej (Brent) nie spadnie poniżej 104 dolarów, a obecnie obniżyła się poniżej 90 dolarów – pomylili się aż o 10%. Zważywszy, że dochody z eksportu surowców energetycznych stanowią połowę potrzeb budżetowych Federacji Rosyjskiej, jak na razie zmalały już o 5% i dalej maleją. Co ważniejsze, sankcje zachodnie zaczynają działać, a tracący kontrolę nad wydarzeniami Putin w swoisty sposób je wspomaga, represyjnie ograniczając import „od wrogów".

Niemcy hitlerowskie w takiej sytuacji w warunkach pokojowych nie znalazły się nigdy!

Dowodzi Pan, że Rosja nie jest ani potęgą gospodarczą, ani polityczną – można by zapytać: czego więc obawiają się ci wszyscy politycy i dziennikarze, którzy straszą dziś wielkim wschodnim mocarstwem?

Rosja nie jest dziś żadnym mocarstwem światowym – nie może interweniować we wszystkich rejonach świata i wpływać na globalne wydarzenia, jak to robią Stany Zjednoczone. Może oczywiście rozmawiać z Brazylią, tylko że dla Brazylii, która ma ponad 190 milionów mieszkańców, Rosja ze 140 milionami nie jest ani starszym bratem, ani wielką potęgą. Dla Chin jest pustkowiem z surowcami i niewystarczająca liczbą obywateli.

Ale nie wszystko na świecie rozwija się w kategoriach globalnych. Są też niższe poziomy. Rosja jest mocarstwem regionalnym, choć przewodzi w bardzo skromnym regionie, który w najlepszym wypadku obejmuje większość byłych republik sowieckich…

… które Putin próbuje skupić w Unii Eurazjatyckiej.

Zinstytucjonalizowanie regionu, w którym Rosja jest mocarstwem, jest dużo słabsze, niż to sobie Putin wyobraża. Problem polega na tym, że ten region obejmuje terytorium byłego Związku Radzieckiego wyłącznie w marzeniach. Marzenia w Rosji nazywają się geopolityką. Rosjanie mogą sobie myśleć, że oto stworzą taką wschodnią Unię Europejską. Są różnice na plus i na minus. Przewaga Rosji w ewentualnej Unii Euroazjatyckiej byłaby ogromna, żądne z państw UE nie ma nawet w połowie takiej pozycji. Tylko, że wśród członków UE są trzy państwa, z których każde dysponuje większym potencjałem, niż Rosja.

Projekt Putina byłby bardziej kulawy bez Ukrainy…

Rosjanie doskonale wiedzą, że ich potęga zaczęła się wtedy, kiedy w ich granicach znalazło się dorzecze Dniepru i kraje bałtyckie. Stanęli w obliczu sytuacji, w której kluczowa część dorzecza Dniepru, a więc czterdzieści milionów ludzi zostało utraconych. Z punktu widzenia planów budowy wokół Rosji Unii Euroazjatyckiej, Ukraina była najważniejszym państwem. Z uwagi na strukturę fizyczną świata Rosja bez Ukrainy i Białorusi zostaje w istocie wypchnięta z Europy (zlewiska atlantyckiego) w zlewisko bezodpływowe – czyli centralną część Azji. Oznacza to bardzo duże ograniczenie potencjału demograficznego i

ekonomicznego – dla nich stratą nie do przyjęcia jest cała Ukraina, a nie Krym, który poza turystyką nie ma gospodarczego znaczenia, i Donbas, czyli zagłębie węglowe, które gospodarcze znaczenie już straciło. Konstrukcja euroazjatycka, którą Moskwa chce stworzyć, bez Ukrainy, Białorusi Kazachstanu będzie fikcyjna, a bez samej Ukrainy – kaleka. Gra toczy się o całość regionu, a nie o jakieś kawałki. Tymczasem przykład Ukrainy staje się zaraźliwy – powoli zaczynamy to dostrzegać na Białorusi.

W jaki sposób izolacja na arenie międzynarodowej wpłynie na Rosję?

Nie można prowadzić polityki w oderwaniu od warunków zewnętrznych i liczyć na to, że będzie się liczącym graczem na scenie międzynarodowej. Jeden przykład. Na początku XIX wieku Chiny były najludniejszym krajem świata, prawdopodobnie miały najliczniejszą armię na świecie, mocną gospodarkę, ale za sprawą własnej izolacji nie były nawet dostrzegane jako podmiot polityki międzynarodowej.

Związek Radziecki nauczył się żyć w izolacji między innymi dlatego, że carska Rosja starała się ją cały czas zachować – co zresztą przekładało się na opóźniony rozwój. Sowieci starali się ten stan rzeczy jeszcze bardziej umocnić – Stalin mógł nie narzekać, że rządził otoczony swego rodzaju kordonem sanitarnym, bo w latach dwudziestych i na początku trzydziestych dawało się tak przetrwać. Ale dla dokonania skoku gospodarczego, a co za tym idzie zbrojeniowego, trzeba było pożegnać się z izolacją. Bez technologii, bez materiałów i kredytów Zachodu żądna z pięciolatek by sie nie powiodła. Ta sama faza powtórzyła się po drugiej wojnie światowej: w latach pięćdziesiątych radziecka izolacja zaczęła pękać – jeżeli się aspiruje do miana światowego mocarstwa, trzeba intensyfikować zewnętrzne kontakty. Dzisiejsza Rosja, która jest tylko mocarstwem regionalnym, nie stanowi wyjątku od tej reguły. Im bardzie się zamknie, tym bardziej sie skurczy.

Znów mamy do czynienia z przeciwieństwem sytuacji z 1938 roku. Niemcy nie starały się izolować, wręcz przeciwnie, chciały rozbijać

izolację: zarzucały, że są blokowane ze wszystkich stron, że się ich okrąża. Hitler sam kroczył ku katastrofie, ponieważ potencjał Rzeszy był zbyt słaby dla realizacji nakreślonych przez niego planów, ale Rzesza okazała sie wystarczająco potężna, przynajmniej po 1936 roku (oddziaływać zaczęło przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej), aby przegrać dopiero po dziesięciu latach.

Związek Radziecki, który w stosunku do obecnej Rosji był potęgą, nie mógł się podnieść po izolacji narzuconej mu przez politykę Reagana, mimo że ta polityka skończyła się pod koniec lat osiemdziesiątych – wystarczyło, że zaznaczyły się jej skutki. Rosja Putina nie może być traktowana, jako równorzędne mocarstwo w stosunku do Zachodu, pogrąża się w izolacji, próbuje sztuczkami ratować prestiż swojego przywódcy. Jedynym rozwiązaniem, które leży w zasięgu Putina jest przegrać w taki sposób, żeby można było ogłosić zwycięstwo. Była już szansa, aby tego spróbować. Pierwsze porozumienie o zawieszeniu broni w Donbasie można było uznać za sukces: Rosja wspomogła swych rodaków na Ukrainie, zmusiła Kijów, aby respektował ich prawa obywatelskie, spokojnie można wycofać wojsko i zakończyć konflikt. Putin z tej okazji nie skorzystał. Może dlatego, że Amerykanie wyraźnie stwierdzili, że nie wystarczy wycofanie sie z Donbasu, muszą jeszcze opuścić Krym. Putin udał, że tego nie słyszy.

Gra nie toczy się jednak o Krym czy Donbas. Toczy się o Europę – bo jeśli Unia chce pełnić wiodącą rolą na świecie, odzyskiwać dawną rangę – nie może sobie pozwolić, żeby ktoś jej zagrał na nosie. Toczy się o Rosję – to koniec mitu supermocarstwowego, ale i zagrożenie spoistości imperium. Toczy się o Putina, bo gdy się przyzna do przegranej, przestanie istnieć jako polityk. Nie chcąc dopuścić do takiego rozwiązania, musi równocześnie eskaluje konflikt, jak i stara się stworzyć warunki, w których mógłby wyjść z całego kryzysu bez utraty twarzy.

Czyli porażka Rosji jest tylko kwestią czasu?

Jedyną możliwością osiągnięcia przez Putina krótkotrwałych korzyści na Ukrainie byłaby powtórka ze scenariusza gruzińskiego, ale pod

warunkiem utraty twarzy przez Zachód. Ale Zachód nie ma żadnych powodów osłabiania własnego prestiżu w imię interesów rosyjskich. Już w tej chwili – a sytuacja jest przecież dynamiczna – odrobienie strat gospodarki rosyjskiej wymagałoby co najmniej pięciu lat korzystnej współpracy z Zachodem. Obecne pokolenie zachodnich polityków czuje się oszukane przez Rosję, która do tej pory kreowała się na wiarygodnego partnera. Oczywiście, z pewnych racji politycznych czy ekonomicznych zachowują się wobec Putina dość łagodnie, ale to pokolenie polityków już zawsze z dużą rezerwę będzie podchodzić do współpracy z Moskwą. W każdym razie najbardziej optymistyczny, choć mało prawdopodobny wariant dla Rosji nie wykracza poza zatrzymanie Krymu i części Donbasu, i to za cenę rozbicia własnej gospodarki. A jeśli Rosja będzie musiała ustąpić, a wszystko wskazuje na to, że tak się stanie, rozgrywka będzie się toczyć o zwartość państwa.

Czy konsekwencje wojny na Ukrainie mogą doprowadzić do dezintegracji albo nawet rozpadu Rosji?

Scenariusz, w którym Rosja wkroczy w kolejną fazę dezintegracji, jest całkiem realny, ponieważ to rozległe państwo jej rozrywane przez sprzeczne interesy różnych obszarów. W wielu wypadkach może się okazać, że małe narody będą uważały pozostanie w Rosji za opłacalne, ale ludziom języka rosyjskiego wręcz odwrotnie. Dotyczy to przede wszystkim prowincji Dalekiego Wschodu, ciążących ku Japonii, i wschodniej Syberii (obszar między Jenisejem a Bałkajem) – są to obszary bogate w surowce, między innymi ropę i gaz, z których zyski czerpie przede wszystkim Moskwa.

Na wschód od Jeniseju, czyli na obszarze wiecznej zmarzliny, gdzie warunki bytowe są niezwykle trudne, dochodziło do wydarzeń, które zmusiły Moskwę do wyłożenia pieniędzy, aby nie powtarzały się więcej w tak drastycznej formie. Trudno nam powiedzieć o skali tych przypadków, ale dochodziło do sytuacji – jak we Władywostoku – kiedy zimą przestawano ogrzewać mieszkania z powodu braku węgla, którego Rosja jest wielkim eksporterem! Proszę pamiętać, że średnie temperatury osiągają tam -10 stopni Celsjusza, a realne przekraczają -20. Kłopoty

żywnościowe zostały natomiast zażegnane nie dzięki władzy centralnej, a Chińczykom. Na tym obszarze mieszka około 8 milionów obywateli rosyjskich i 3 miliony Chińczyków, który produkują żywność w dolinie Amuru – ale wszystkie powiązania cywilizacyjno-ekonomiczne kierują się w stronę Japonii. Dla tych ludzi przynależność do Rosji nic nie daje, zwłaszcza że to głównie władza scentralizowana pobiera korzyści z miejscowych bogactw naturalnych. Podobnie jest we wschodniej Syberii, choć tam akurat dominują wpływy chińskie.

Proces rozpadu Rosji trwa już od dłuższego czasu: na transformacji w latach dziewięćdziesiątych zyskała Moskwa i Petersburg – inne ośrodki dużo mniej. W dodatku coraz szerszy dostęp do Internetu i mediów zachodnich będzie karmił rosyjskiego widza wyidealizowanym obrazem rzeczywistości zachodniej czy japońskiej, który w zestawieniu z realiami rosyjskim będzie pobudzał ruchy odśrodkowe. Putin swoimi awanturniczymi działaniami jedynie przyspiesza to, co nieuniknione.

Zamykając temat analogii historycznych – nie ma zatem żadnych podobieństw dzisiejszej sytuacji międzynarodowej z tą z 1938 roku.

Sytuacja w porównaniu do 1938 roku jest podobna tylko w jednej formie: narzędziem jest mniejszość etniczna. Ale poza tym nie ma żadnych analogii. W 1938 roku Niemcom sukces przyniosła potężna armia i rozbrojeni przeciwnicy, którzy – zwłaszcza Francja i Czechosłowacja – nie byli w stanie strategicznie opracować sytuacji. Dziś mamy do czynienia z Rosją, która jest cieniem swojej dawnej potęgi, zarówno pod względem jakościowym i ilościowym.. Ukraina nie została pozostawiona samej sobie, uzyskała wsparcie nie tylko w Polsce i Stanach Zjednoczonych, lecz również w Unii Europejskiej, gdy Czechosłowacja w 1938 roku została porzucona przez własnych sojuszników – Francje i ZSRR. Żądania Hitlera podczas Anschlussu czy przy kryzysie sudeckim umacniały niemiecki prestiż na arenie międzynarodowej, a obecne żądania rosyjskie wywołują odwrotny skutek – autorytet Moskwy upada. Świat widzi, że Rosja zachowuje się już nawet nie tyle nieobliczalnie, co histerycznie – odpowiadając na sankcje innych własnymi, ale

samobójczymi. Putin tyle naczytał się o głupich kapitalistach, którzy wszystko oddawali Hitlerowi, aby zaszkodzić ZSRR, że sam zapragnął pójść Führera. Zapomniał tylko, jak tamten skończył.

– Rozmawiali: Marcin Furdyna, Marek Rodzik

Putin nie jest demiurgiem[8]

Czytam gazety, patrzę na telewizję; dziennikarskie tuzy, uznani eksperci i przywołani do tablicy politycy zastanawiają się głośno, co uczyni Władimir Putin. Rok temu, przypomnę, przedmiotem domysłów były plany Wiktora Janukowycza. Czy ten zręczny mąż stanu, tak umiejętnie lawirujący pomiędzy Kremlem a UE, ostatecznie wybrał już Unię Eurazjatycką, czy też chowa w zanadrzu kartę, która – mimo problemów ekonomicznych Ukrainy, pozwoli mu rozwinąć związki z Europą?

Przymus, a nie wybór

Ludzie marzli wówczas na Majdanie, tegoroczna zima jest zdecydowanie cieplejsza – i nastąpiła eskalacja personalna: teraz Putin wyjaśnia, że kłopoty gospodarcze, choć wprawdzie drobne, mogą potrwać i dwa lata. Nie przeszkadza to przecież w uroczystym proklamowaniu Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Liczy się sukces, a nie brak Ukrainy. Wybitny przywódca Świętej Rosji, panujący na jednej szóstej powierzchni lądów Ziemi (włączając obszary utracone przejściowo), wiosną podjął fundamentalną decyzję. Przynajmniej tak usłyszałem w elektronicznym medium. Zakończył rekonstrukcję supermocarstwowości, nadszedł czas, aby spektakularnie ujawnić ją przed światem. Jednym ruchem zagarnął Krym, a teraz ma do wyboru... Point de rêveries, Messieurs! Hola, hola – moje panie i panowie! Putin nie wybiera; Putin musi. Politycy, ci z prawdziwego zdarzenia, nie są demiurgami, od których rozumu i woli zależą losy narodów. Działają w wąskich korytarzach, które im nieustannie tworzą i zamykają zmienne relacje sił. Najprzeróżniejszych, o własnych mechanizmach, często ujawniających się dramatycznie, na ogół prawie niewidocznych. Jeśli przywódcy państw potrafią, choćby intuicyjnie, odczytać procesy, przebiegające przez najbliższą przyszłość, mogą uzyskać niemało – i to na ogół wystarcza, aby zapisać się w historii. Ale pod jednym warunkiem: że kierują państwami, dysponującymi dostatecznym potencjałem mocy. Najpierw parę pytań.

[8] Tekst opublikowany 22 stycznia 2015 r. Źródło: http://www.rp.pl/artykul/1173420.html

Czy Rosja jest supermocarstwem? Czy ZSRR był supermocarstwem? Nie cofając się zbyt daleko w przeszłość, skonkretyzujmy: w latach 70. ZSRR był supermocarstwem militarnym. Ale nie był supermocarstwem ekonomicznym, a przestawał być supermocarstwem demograficznym. Górował nad innymi obszarem, lecz w połowie była to wieczna marzłoć i piaszczyste pustynie. Aby utrzymać swą wybujałą rangę międzynarodową, skupił wysiłek na zbrojeniach - i to doprowadziło go do zguby. Czym więc był? Na pewno jednym z biegunów polityki światowej. Mowa o takiej potędze, która ma zdolność przyciągania innych.

Nie jest to zjawisko występujące zawsze. USA przyciągały gwarancjami bezpieczeństwa, zamożnością i wolnościami obywatelskimi; ZSRR przymusem militarnym i mesjanistyczną doktryną przyszłej szczęśliwości. Ale to w tamtej dekadzie załamał się system dwubiegunowy. Wyrósł trzeci: Chiny – dysponujące największym na świecie zasobem energii społecznej i zmodernizowaną teorią Marksa - ciągle atrakcyjną, przynajmniej w krajach Trzeciego Świata oraz na paryskich uniwersytetach. Symbolem przemiany geopolitycznej stał się luty 1972 roku i szanghajskie porozumienie Richarda Nixona z Mao.

Ćwierć wieku później zapytałem Henry'ego Kissingera, czy uważał, że warto przegrać wojnę w Wietnamie, aby pozyskać Chiny? Popatrzył na mnie – i zaczął mówić o czymś innym. Pytanie było trochę niewłaściwe, pomysł i decyzja należały do Nixona, jakby nie było najwybitniejszego – i najbardziej przegranego od czasów Wilsona – prezydenta USA. Kissinger jako jego doradca i sekretarz stanu był raczej rzecznikiem odnowy Świętego Przymierza – również potrójnego. Ale ZSRR był już za słaby i jeszcze zbyt ambitny, by podjąć taką ratującą koncepcję.

Zaczęły się schody

Dziś nie ma bieguna; jest jedno supermocarstwo globalne, lecz dalece nie starcza mu potencjału, aby kontrolować świat. Rosja z grubsza i nie w pełni zachowała potencjał militarny sprzed ponad dwudziestu lat, choć jego najważniejsza, nuklearna część jest obecnie mało przydatna. Zapłaciła wszystkim innym, ale zwłaszcza gospodarką, rozbitą,

rozkradzioną, roztrwonioną. Pozostały wielkie surowce, trochę zbrojeniówki i powszechne braki. Przestała być biegunem; jej siła przyciągająca nie ogarnia nawet całości byłego ZSRR.

Putin pręży wolę, by odwrócić „największą katastrofę geopolityczną Europy XX wieku" (znam, co najmniej, trzy większe). Wrócił na drogę tradycyjną, a zatem jedyną: zbierania utraconych ziem. Najważniejszą z nich jest Ukraina. Jej, oraz krajów bałtyckich zagarnięcie w XVIII wieku pozwoliło zbudować mocarstwowość rosyjską i wprowadzić ją do Europy. Bez Ukrainy niemożliwa jest powtórka. Tyle, tego Putina nauczono.

Przypomnijmy wydarzenia. Celem życia Janukowycza stało się wygranie przyszłych wyborów. Zależało to od Putina – i tak droga do imperium Eurazji została otwarta. Na chwilę, bo zaczęły się schody. Sprzeciwił się Euromajdan. Pierwsza nadzieja: mróz ich przepędzi. Druga: właściwe organa siłą przywrócą porządek. Ale gdy zaczęła lać się krew, 36 godzin wystarczyło na całkowitą zmianę władzy. Taki przewrót – Rosjanie znają to z własnych doświadczeń – powinien otworzyć długi okres kompletnego bezhołowia. Trzeba więc pobudzić konflikty wewnętrzne, Charków rzucić na Lwów, Zaporoże na Kijów, ukazać bezsiłę euromajdańskich uzurpatorów. „Zielone ludziki" na Krymie to nie odzyskiwanie utraconej prowincji, tylko sygnał do wzniecenia ukraińskiej – sorry, małorosyjskiej – wojny domowej. Więc leje się nowa krew w Odessie – i, niespodziewanie, potem nastaje spokój.

Bo Ukraina to europejski kraj, tylko dłużej uciemiężony. Ci sami ludzie, którzy przepędzili Janukowycza, potrafili utrzymać stabilizację państwową i uzyskać ogromne poparcie społeczne w dwu kolejnych wyborach. To Putin wpadł w kołowrót, rozpędzony aż tak bardzo, że musi się wraz z nim kręcić w kółko. Jest Donbas, próba otwarcia drogi do Dniepru i Dniestru, ale wydarzenia wymykają się spod kontroli. A dalej: zbrodnia z malezyjskim samolotem, eskalacja sankcji zachodnich, we wrześniu przesilenie – wymuszony rozejm, ofensywa z Donbasu zatrzymana. Potem następują: załamanie koniunktury naftowej, upadek rubla, zanik perspektyw. Ale nie można wyjść z kręciołka, bo to totalna

klęska, zamknięcie drogi do imperium, koniec snu o potędze. Putin nie może, ale musi tańczyć w jego takt.

Nutki optymizmu

Ktoś w to wierzy? Chyba nie, bo dziedzictwo intelektualne PRL – że przesadnie nadużyję tego przymiotnika – przesądza inaczej. Swoje wiemy: Rosja potęgą jest, i basta! Jakżeby inaczej? Jeśli Putin stworzył plan, to go przecież zrealizuje. Jeśli ma nowy, obawy tylko rosną. Te ich czołgi, te rakiety – a samoloty Bundeswehry pordzewiały ze starości. Czy zresztą zechcą nas bronić? Przecież już w 1831 roku Horace Sébastiani (niejako poprzednik François Hollande'a) powiedział: L'Ordre règne à Varsowie. I tak dalej, tak dalej – mimo, że gołym okiem widać, jak to powiódł się putinowski plan przejęcia Ukrainy, i jaką cenę za to Rosja już zapłaciła.

No, rzeczywiście, Putinowi narastają kłopoty, temu nikt nie zaprzeczy. Lecz gdyby upadł, jego następca będzie jeszcze gorszy, bez kultury, bez skrupułów. Może doprowadzić do nieszczęścia... Pojawiają się nutki optymizmu. Gdyby tak, pod presją załamania standardu życia, Rosjanie wyszliby na ulicę... Gdyby udało się odbudować gospodarkę rosyjską, uczynić z niej wiarygodnego partnera...

Nie piszę o Polsce, ani o Polakach, ani o ludziach z mediów. Przedstawiam, wprawdzie nie wszystkie, ale dominujące, publicznie prowadzone i szeroko nagłaśniane dyskusje. A to nie to samo. I włączam się tylko do tych właśnie dyskusji.

Putin nie jest demiurgiem. Nie jest też Rosją – jedynie jej czasowym przywódcą. To silna osobowość, prawie całkowicie odlana na jeden wzorzec. Pochodna tradycji łączącej wielkoruski szowinizm ze światowym posłannictwem. Myśli prosto: drogą przez mękę dorobiliśmy się wszechświatowej pozycji – i za nic jej nie oddamy. Zwłaszcza teraz, gdy zewsząd otaczają nas wrogowie, działa kategoryczny imperatyw: albo będziemy globalnym supermocarstwem, albo zginiemy. *Poniali?*

W tej logice brak tylko jednej przesłanki: poczucia rzeczywistości. Rosja nie jest potęgą – i ktoś, kto nie dysponuje nadprzyrodzoną siłą, nie wykrzesze jej z porozrzucanych pośród tajgi głazów. A Putina nikt nie nauczył, jak ją racjonalnie budować.

Jego upadku nie warto się bać. Im gorszy przyjdzie następca, bardziej awanturniczy - tym szybciej rozleci się wizja eurazjatyckiego imperium. Groźniejszy byłby sukcesor, zdolny stworzyć społeczne i ekonomiczne podstawy potęgi. Gdyby udało się to Putinowi, o ile obecna sytuacja byłaby trudniejsza! Najpierw Rosja musi odejść od ducha Moskwy – a to wymaga wysiłku pokoleń, albo doznania tak straszliwej, podwójnej klęski, jaką przeżyły Niemcy w minionym stuleciu. Marzenia, zamiary i kolejne plany Putina nie mogą się spełnić, bo najzwyklej Rosji brakuje sił. Słabnie z miesiąca na miesiąc – a na przednówku, gdzieś w połowie roku czeka ją ostry kryzys.

Ponad rok temu, 5 grudnia 2013 roku, na internetowym portalu pisałem: „Czynnikiem decydującym na Ukrainie są Ukraińcy. Podobnie, jak w 1989 roku okazało się, że o Polsce rozstrzygają Polacy. Tego faktu nie dostrzegli wówczas przywódcy ZSRR, a obecnie klucz do rozumienia sytuacji na Ukrainie pozostał poza wyobraźnią licznych analityków i komentatorów, w tym również – niestety – polskich... Niezależnie od kulawej gospodarki, przekupności władzy, podziałów i jaskrawych nieraz różnic, [Ukraińcy] nauczyli się już być niepodległym narodem... My chyba najlepiej powinniśmy rozumieć, że o przyszłości Ukrainy zadecyduje sam naród ukraiński”.

Czegoś takiego nie mógłbym napisać o Rosjanach. Buntowali się już wielokrotnie – często przybierało to straszliwe formy, ale skutek był podobny: trafiali pod jeszcze większe samowładztwo. Rebelia dla rebelii, okazja, aby poszaleć. Czy teraz ruszą czy nie, zapewne w małym stopniu wpłynie to na kształt rozstrzygnięcia. Pogrążeni są w stagnacji, co typowe. Natomiast Ukraińcy okazali się najbardziej dynamicznym narodem w Europie początków XXI wieku. Dwie samo-kontrolujące się rewolucje, przejęcie władzy przy utrzymaniu stabilizacji wewnętrznej państwa, wytrzymanie straszliwej presji rozpoczynającej się od agresji potężnego

sąsiada, społeczna gotowość do ofiar. Rosjanie przyglądali się tylko, co najwyżej klaszcząc własnemu szefowi. Nie byli nawet zdolni do organizacji społecznej, do pozarządowej pomocy dla swych rodaków z Donbasu.

Katastrofy potencjałowe

Są wielkie przemiany, w których najbardziej aktywnym podmiotem jest naród, ale są też ogromne transformacje, których narody pozostają biernym przedmiotem. Wówczas działają tylko zwykłe mechanizmy dziejów, a wśród ich skutków wyróżniają się katastrofy potencjałowe. Dochodzi do nich, gdy potencjał dyspozycyjny zaczyna zagarniać część potencjału ruchu – który zapewnia funkcjonowanie państwa i społeczeństwa, albo potencjału biernego – substancji obejmującej ogół walorów materialnych, intelektualnych i duchowych.

W pierwszym wypadku przestaje funkcjonować organizacja państwowa; tak zdarzyło się w Niemczech jesienią 1918 r., gdy bez klęski na froncie, wojna została niespodziewanie przegrana. Drugi wariant jest znacznie gorszy: przestaje funkcjonować wszystko. Rosja tylko w XX wieku przeżyła go dwukrotnie: w latach 1917-1921 oraz 1989-1993. Czy po raz ostatni?

Najpierw Janukowycz, teraz Putin; ciekawe, kto za rok będzie na tapecie?

***